



№ 390.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 16 marca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Roman Zmorski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kościół św. Stanisława na Skałce w Krakowie (z drzeworytem). — Domy drewniane w Wiśniczu (drzeworyty). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Kronika zagraniczna. — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Wrażenia z podróży (dalszy ciąg). — Cicha woda brzegi rwie, (przysłowie dramatyczne). — Korespondencya od redakcyi. — Helena, powieść. (Dalszy ciąg).

Roman Zmorski.

W społecznościach ludzkich zdarzają się chwile, w których rzadko komu danem jest za właściwym sobie podążać kierunkiem. Los, wypadki, potrzeba, czasem prowadzą wybrane nawet jednostki na obce im drogi, po których na oślep krążąc, tracą nie raz czas, siły, życie, nie odpowiedziałwszy nawet w części zadaniu do którego były powołane. Ten lub ów, minąwszy się z celem który w młodości świecił mu jako ideał wszystkich żądź duszy, przy schyłku życia dopiero opatrzy się że lata zmarnował; inny czuje się na bezdrożu, widzi że marnieje, że słabnie, że bezwiednie traci to co Bóg wlał w niego, a nie może zwrócić się i rozpocząć drogi nanowo, bo i sił mu nie starczy i widzi przed sobą nieprzebyte zapory.

Dlatego o takich ludziach trudno sąd wydać stanowczy. Współcześni myślą się w zdaniu o nich, jeżeli oceniając to co zdziałali, chcą wyrokować o tém na co ich stać było; a i później, jeżeli nazwisko i pamięć ich się przechowa, sąd potomności nie będzie jaśniejszy i sprawiedliwszy, bo na to trzeba znać wszystkie okoliczności ich życia, których znaczna część w wiecznym już może cieniu pograżona.

Wprawdzie ludzie praktyczni gotowi na to powiedzieć:

— A nam co do tego? my sądzimy tylko z tego co znamy, z tego co widzimy. Co nam po zdolnościach, co nam po talentach, które się rozprysnęły na drobną zdawkową monetę? Że ktoś mógł a nie chciał, albo chciała nie mógł, to na jedno wynosi.

Zapewne, lecz trzeba pamiętać że ludzkie siły mają miarę swoją i że tak wypoczynek jak i śmierć mają swą wymowę. Wieluż to grób znalazło w kaktakumbach myśli, których lada nitka w porę podana, mogła być wyprowadzić na światło dzienne. W braku tej nitki i bohater Tezeusz byłby nieznaną jakąś ofiarą.

Myśli te zawsze nam się nasuwają pod pióro, ilekroć mamy pisać o ludziach należących do pokolenia w którym Roman Zmorski wydo był się na widownię życia.

A było ich niemało, wszyscy młodzi, zdolni, o gniści, kochający. Torowali sobie sami drogę, bo wówczas właśnie między przeszłością piśmiennictwa a przyszłością nastąpiła wypoczynku chwila. Nic w piśmiennictwie, nic w sztuce; w naukach słaby tylko odgłos dawnych zasług. Lada romans francuzki, niedo-

łęźnie przepolszczony, stanowił już zasługę; lada wiérzyk bez znaczenia, umieszczony w gazecie pomiędzy wiadomościami z Senegalu a psem zgubionym, był godnym uwagi wypadkiem; malarstwo krajowe ześrodkowało się w obstalunkach czynionych u jednego czy dwóch portrecistów; rzeźba nie wychodziła po za obręb nagrobków kilku ludzi bogatych, którzy choć po śmierci chcieli dać coś sztukom pięknym zarobić, a lekye fortepianu i śpiewu sta-

kilkunastu młodzieży, w jedno grono literackie zebranych.

Oprócz niekłamanej przyjaźni, jaka się zawiązuje w młodym wieku pomiędzy ludźmi sympatyzującymi z sobą pojęciami, łączyła ich samowiedza różnorodnych zdolności, jakimi prawie każdy z tych ludzi był obdarzony. Zdolności i nie więcej; ale to już wiele, gdy do nich się przyłączy szczerą chęć wydobycia się na światło.

Nazwiska tych ludzi wiadome są po większej części ogółowi, a choć niedawna to epoka, kilku z nich tylko przeżyło do dni dzisiejszych, a jeden czy dwóch zaledwie poszczycić się mogą, że zajęli rzeczywiście w piśmiennictwie stanowisko odpowiednie zdolnościom i zapałowi z jakim podówczas rwali się do pracy.

Bo ten właśnie nadmiar życia jakie w nich wrzało, stał się dla wielu z nich powodem upadku. Francuzi żalą się na swoje *cyganstwo literackie*, którego Murger był najwyrazistszym przedstawicielem i najwierniejszym historyografem; ale to marnowanie sił życia u Murgerów i im podobnych, pochodziło z umyślnych tylko zbóczeń i pochopów, podczas kiedy kółko o jakimś mówimy, bezwiednie rzuciło się w odmet, napróżno szukając w nim zadowolenia krewkości, przepełniającej całe to młode pokolenie.

Pomiędzy tą młodzieżą Roman Zmorski uważany był za jednego z najzdolniejszych.

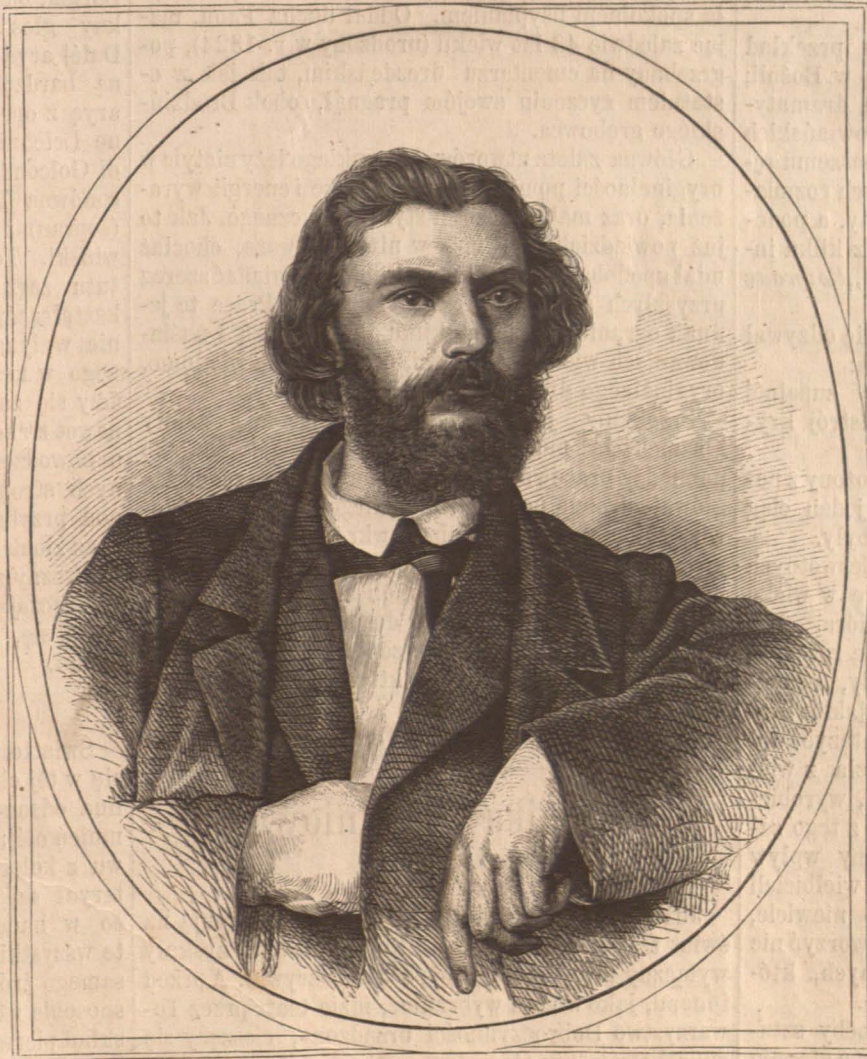
Stoi mi jeszcze na oczach ta dziwna, charakterystyczna twarz, ta ogorzała cera, te kruczaj czarnośći włosy i oczy wewnętrznym ogniem błyszczące, a zawsze gdzieś w przestrzeń wpatrzone.

Jedni nazywali go Hiszpanem, inni Włochem, a i talent jego miał w sobie coś południowego. Zdawało się że te płomieniste wiérse, które z dziwną łatwością wysnuwał z siebie, gorące niebo południa wyhodowało... a poeta wyskakiwał z nich cały zbrojny, jak Minerva z głowy Jowisza. Tak odrazu trysnęła w świat oryginalna choć dziwniej piękności forma wiérseza i jakieś rzuty

poetyckie zadziwiające śmiałością, którym zaciasno było w drobnych fantazyach i okolicznościowych rytmach, w jakich je Zmorski starał się zamknąć.

Wiérsej jego do młodego poety, w osiemnastym czy dziewiętnastym roku życia skręślony, powitany był przez całą tę młodzież jako jutrzienka odżywienia się poezyi u nas.

I stało się prawie tak jak on śpiewał:



ROMAN ZMORSKI. (Podług fotografii Mieczkowskiego).

nowiły jedyną i bardzo zagadkową przyszłość artysty muzycznego. Ci którzy dziś się skarżą na oziębłość wydawców, nie znali widać ówczesnego chłodu. Za utwory literatury lub sztuki nie płacono ani grosza, i tylko bogaty mógł się jąć pióra, dla własnej wyłącznie przyjemności. A wiadomo że bogacze do pióra wstręt mają.

I stało się że jakoś razem wyszło wówczas na świat

Wtenczas każdy je z taką powita pociechą
Jako nad rankiem kura przeraźliwe pianie,
Co trzepocąc skrzydłami nad skopconą strzechą,
Jasnej na niebie zorzy zwiastuje świtanie.

Powtarzamy, pisał to osiemnastoletni młodzian, nie więc dziwnego że pomiędzy rówieśnikami swoimi, z których każdy prawie do tegoż samego nastrojony był tonu, wyrósł on odrazu w wyższą postać liryczną. Ludzie ci wierzyli wówczas, (szczególnie) że natchnienie starczy za wszystko; zapominali o zdrowej radzie Krasickiego:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty....

Zapominali że wiedza w poecie musi conajmniej wrodzonym zdolnościom wyrównywać, a raczej zdawało im się że ta wiedza z łatwością im przyjdzie, że przebojem zdobędą niebo....

Najsilniej może ze wszystkich taką wiarą ożywiony był Zmorski, a brak systematu w początkowym wykształceniu daje się widzieć i w dalszych pracach poety, który co chwila rozlubowywa się w nowym polu działania, żeby znów je porzucić dla pracy która mu się wdzięczniej uśmiechać zdaje, rzadko co wykończając należycie, rzadko który zamiar trwale doprowadzając do skutku. Co chwila rozpoczyna on prace większych rozmiarów i ustaje, bo nowa jakaś myśl roznamiętnia go do siebie. Tylko jak gwiazda przewodnia ciągle widomie świeci nad nim gorąca miłość ludu słowiańskiego, którego języki we wszystkich prawie bada narzeczach, tak jak wszystkie prawie ziemie słowiańskie, albo te na których ślady Słowiańszczyzny pozostały, zwiędza z kijem pielgrzymim w rękę.

Poematy jego większych rozmiarów, *Lestaw i Wieża siedmiu wodzów* (naśladowanie z sagi skandynawskiej) wskazują nam tę dążność ludową, a bardziej jeszcze prześliczne przekłady pieśni serbskich, które stanowią ważny bardzo przyczynek dla naszego piśmiennictwa.

Wkrótce ma wyjść w osobnym odbiciu przekład *Merimy*, tragedii osnutęj na wypadkach w Bośni; wiemy także i o kilku innych utworach dramatycznych, które z serbskiego i innych słowiańskich narzeczy Zmorski starał się przyswoić naszemu językowi. Oryginalny poemat jego większych rozmiarów, *Święto majowe*, pozostał nieskończony, a podobno nawet pierwotny rękopis jego, wraz z kilku innymi, pomiędzy którymi wskazują nam „*Rozprawę o bitwie grunwaldzkiej*,” zaginęły.

O tém Święcie majowym Zmorski tak się odzywał do żony swojej w ostatnich chwilach życia:

— Poemat ten muszę dośpiwać przy zupełnej sile, bo nie uwierzysz jaki tam wysoki nastrój liryzmu, od pierwszej do ostatniej nuty.

Toż samo *Pieśni mazowieckie*, poemat złożony z pojedynczych, chociaż mających stanowić jeden ciąg ustępów, nigdy zupełnie dokończone nie były.

Najwyższe jednak natchnienie bije z pierwotnych poezji Zmorskiego, z tych właśnie które w wieku młodzieńczym wysnuwały się z pod jego pióra. Widzieliśmy tam ogromne zasoby liryzmu hojną rozsypwane dłońią, jakiś dźwięk mężki, twardy, prawie dziki czasami, któremu niebrak powabu, jakim prawdziwy talent najnieokrzeszańsze nawet fantazje swoje nacechować zdoła. Miara która przyszła z wiekiem, dała mu więcej gładkości, równości, wyrobienia artystycznego, ale zato odjęła trochę z tego zapachu i werwy artystycznej, które tak silny wpływ wywierały w swoim czasie na młodych wielbicieli jego talentu. Stosunkowo pisał bardzo niewiele, mawiając zawsze że poezji na zawołanie tworzyć nie umie, że nie podejmie się prac peryodycznych, które mogłyby zabić w nim poetycznego ducha.

Ale duch ten potrzebował ciągłego, choćby sztucznego podsycańca, żeby się na pierwotnym stopniu energii utrzymać, i dlatego w pracach Zmorskiego widzieliśmy długie przerwy niczym niezapełnione, tyle zamiarów nieprzywiezionych do skutku, tyle planów niedokonanych i rozpryszonych przed wprowadzeniem ich w życie. Z zapałem i miłością zdawał się on rwać ciągle ku nowym pomysłom, z silnym przedsięwzięciem wytrwania zabierał się do pracy i po chwili bezwładnie opadały mu ręce, a ulubiona myśl, w coraz ciemniejszych ukazując się barwach, następcząc coraz nowe trudności, albo niepodobne do przebycia zapory, odstręczała go od siebie.

Z tego również powodu i w całym jego życiu było coś błędnego, niestałego. Dziwna ruchliwość i ciągła pochopność do nowości nie dawały mu usiedzieć długo na jednym miejscu. Rok w którymby nie odbył podróży żadnej, wydawał mu się rokiem straconym. Miejsce pobytu przenosił ciągle z jednej okolicy w drugą, wyciągając z tych wędrówek swoich możliwy dla siebie pożytek, niezdolny jednak, skutkiem tego ciągłego zmieniania siedziby, do rozpoczęcia jakiejś ważniejszej pracy. Jakaś gorączka pchała go ciągle naprzód.

Zdawało się że ów wędrowiec bezustanny, czując kres swój zbliżający się przedwcześnie, chce chociaż tym sposobem zdwoić dla siebie życie, że nie ma czasu oglądać się na przyszłość, jak to inni czynią, ani odkładać do późniejszego ziszczenia plany które dopominają się o natychmiastowe wykonanie.

Ostatnie chwile swoje spędził w Dreźnie, gdzie też i śmierć jego nastąpiła. Oto ustęp z przedśmiertnej niedokończonej pieśni, ustęp skierowany do towarzyski życia:

Jam znowu twoim, twoim bez podziąka,
Najpierwszych uczu moich gwiazdo święta!
Włożone w chwili zmysłowego szału
Otom nareszcie stargał z siebie pęta
I jak zbłąkany anioł dziś ku tobie
Powracam, dłonie wyciągając obie.

Myśl skołatana, ciało me zbolące,
Oko przygasło, twarz zwiędła pod łzami,
Ach i anielskie ducha szaty białe
Gorączka targa i brud ziemi plami.
Zgasło niebieskie, promieniste koło
Któremeś moje otoczyła czoło.

Na łożu śmierci mówił jeszcze wiele o dokończeniu prac zaczętych, których liczne szkice zostawił, to znowu o sąsiedztwie bliżkiem z grobem Brodzińskiego. Śmierć jego, pomimo wielkich cierpień, była spokojnem usypianiem. Oddał ducha Panu, mając zaledwie 43 lat wieku (urodzony w r. 1824), po grzebany na cmentarzu drezdeńskim, tak jak w ostatniem życzeniu swoim pragnął, obok Brodzińskiego grobowca.

Główna zaleta utworów Zmorskiego leży nietylko w oryginalności pomysłu, ile w potędze i energii wyrażenia, oraz małowniczności stylu poetycznego. Jak to już powiedzieliśmy, liryk w nim przeważa, chociaż miał upodobanie w dramacie i lubił zapowiadać szereg przyszłych swoich prac na tém polu. Prace te jednak ograniczyły się na kilku przekładach i naśladowaniach wielkiej wartości, o ile zaś nam wiadomo, oryginalnego dramatu nie utworzył nigdy.

Przekłady jego znakomite posiadają zalety i sameby już mu mogły zapewnić ważne stanowisko pomiędzy pracownikami piśmiennictwa naszego. Ale głównie drobne poezje Zmorskiego, których całkowity zbiór wyjdzie podobno wkrótce w dwóch tomach, znamionują w nim niepośledni talent, któremu tylko brakło czasu i okoliczności do należytego rozwoju. I chociaż nie dośpiwał może wszystkiego co zdawał się zrazu zapowiadać, nie zmarnował jednak życia, przez które ciernista nieraz wiodła go droga.

Wacław Szymanowski.

Kronika tygodniowa.

Już tedy, jak zwykle u nas w post, występują na świat teatru amatorskie, które oddawna zyskały wyłączny prawie przywilej postnej rozrywki. A przed innymi, jako wódz i wybraniec, idzie teatr przez Towarzystwo Dobroczyńności urządzony, cieszący się wyjątkowem współczuciem publiczności i zasługujący na to starannym wyborem sztuk i dobrą grą amatorów. Pod tym ostatnim zwłaszcza względem niemała wdzięczność należy się panu Chęcińskiemu, który jako reżyser i instruktor całego tego zaimprovizowanego dramatycznego towarzystwa, daje zawsze ów pierwszy ton, do którego zdolności amatorskie się nastrajają. Prawda że pomiędzy amatorami i amatorkami znajdują się talenta już wyrobione, naturalnie względnie do wymagań jakie mamy prawo amatorskiej grze stawiać, a na pierwszym planie wymienimy tu panią Bogowolską i pana Grzywińskiego,

których sceniczna sława w rocznikach teatrów amatorskich w Warszawie zasłużone zjednała sobie już stanowisko. Tym dwóm koryfeuszom sceny teatru Dobroczyńności, skutecznie dopomogli towarzysze ich trudów, pani Smolikowska, pp. Wojciechowski, Minasowicz, Pelletier, Beneveni, Stromfeld, w dwóch sztukach, z których jedna tłumaczona z francuzkiego przez pana Chęcińskiego, zupełnie tu jeszcze nieznana, pod tytułem Sidła, a druga komedyjka w jednym akcie wiérsem Aleksandra Fredry, *Zrządność i Przekora*. Obiedwie sztuczki bardzo dobrze w ruch wprowadzone zostały i publiczność bawiła się nie już konwencyonalnie, jak to się zwykle na przedstawieniach tego rodzaju dzieje, ale prawdziwie z serca i przekonania.

Deklamacya (p. Chęcińskiego) dzwonu Szyllera, z muzyką pana Sikorskiego, zasłużone zyskała oklaski, a pan Chęciński postąpił tu jak wódz przykładny i waleczny, stając do sztyku bojowego wraz z szeregi podkomendnych swoich. Piękny utwór poetycki Felicjana, *Królowa Zabawy*, drukowany kiedyś w naszym piśmie, wypowiedziała z uczuciem pani Rakiewiczowa. Słowem całe przedstawienie powiodło się wybornie; ale Dobroczyńność przyzwyczaiła nas już do tego i wszystkie widowiska przez tutejsze Towarzystwo Dobroczyńności urządzone cieszą się wyłącznym niemal przywilejem powodzenia.

* * *

W sobotę odbył się w Instytucie Muzycznym popis szkoły śpiewu pana Ciaffei, profesora tegoż Instytutu. Z pośród umiejętnie wybranego programu wykonanych śpiewów, przytaczamy odznaczające się ustępy, które zyskawszy ogólny przyklask, dały świadectwo o zdolności uczniów i uczenie kształcących się w tej użytecznej instytucji. Więc przedewszystkiem wymienić nam wypada modlitwę „*Madre Pia*,” wykonaną przez uczniów i uczennice szkoły solowej. Następnie arją z opery *Lucrezia Borgia*, odśpiewaną przez pannę Miller, której piękny głos kontraltowy ogólnie zyskał pochwały. Dalej arją z opery „*Nozze di Figaro*,” odśpiewaną bardzo ładnie przez pannę Jaroszewiczównę, arją z opery „*Don Giovanni*,” wykonaną przez pannę Lechnitzównę, oraz kwartet z opery „*Regina di Golconda*, do którego składu wchodziły panna Bironówna Izabella (sopran), panna Macharzyńska (sopran) i dwa głosy basowe, pp. Weishoff i Grzywiński. To dowodzi, że od czasu założenia Instytutu zarząd jego nie zależał pola i że postępy kształcące się tam młodzieży, mogą z czasem znacznie wpłynąć na rozkrzewienie się ducha muzycznego w kraju naszym. To pewna, że nie powinniśmy się żalić na brak zdolności muzycznych, bo nawet z zagranicy dochodzą nas co chwila odgłosy o powodzeniu na tém polu rodaków naszych w różnych stronach świata. I nieraz się zdarza, że pod przybranem włoskiem nazwiskiem kryje się nasz ziomek, o którym sami nie wiemy. Instytut muzyczny ześrodkowując te rozprzecznięte siły i następcząc im możliwość systematycznego kształcenia się, oddaje już tém samem niemałe krajowi usługi.

* * *

Światło, (w fizycznym znaczeniu tego wyrazu) staje się w tej chwili celem wielolicznych starań. Naftalina odsunęła zupełnie na bok klasycznych wspomnień olej; naftalinę podkopuje ligroina, która znowu z kolei czuje się zagrożoną przez nowy materiał do oświetlania, pod nazwą szandoliny świeżo w handel wprowadzony. Zdaje się jednak że te wszystkie nazwy biorą początek z jednego i tego samego źródła, różniąc się tylko w zastosowaniu i sposobie użycia. Nie idzie nam atoli o nazwę a skład pierwiastków w materiale do oświetlania wchodzących; główną tu rzeczą jest taniosc i praktyczność. Otóż nam się zdaje, że pod tym względem szandolina w rzeczywistym znajduje się postępie, i to głównie dlatego, że lampki szandolinowe, nie ubiegając się za wykuintnością, skierowane są głównie ku praktycznym celom. Jest to, jak dotychczas przynajmniej, najtańszy sposób oświetlania pracowni i warsztatów wszelkiego rodzaju, a w miastach prowincjonalnych, gdzie jeszcze nie pomyślano o gazie, a olej, z powodu drogich cen w jakich pomimo tak silnej konkurencji się utrzymuje, jest materiałem do oświetlania niedostępnym prawie,

szandolina ważne przynieść może przysługi. Światło szandolinowe obywa się bez szkielek i wszelkiego rodzaju skomplikowanych przyrządów, lampki palą się tak samo jak świece zwyczajne, z tą tylko różnicą, że daleko taniej kosztują i obywają się bez wszelkich obcinan knotu, czyszczeń i t. d. Jedną tylko rzecz mamy im do zarzucenia, że na lampki te, z powodu koniecznej w nich dokładności roboty, wysoka stosunkowo oznaczona jest cena, co ze względu na ubogą klasę, dla której światło to głównie zdaje się przeznaczonym, trochę jest niewłaściwem. Może z rozpowszechnieniem się tego sposobu oświetlania, i cena lampek zniży się także.

Przy oglądaniu tego nowego produktu głównie zwróciła na siebie naszą uwagę kwestya bezpieczeństwa, boć wiadomo że częste wypadki jakie przy nieostrożnym obchodzeniu się z naftaliną mają miejsce, powinny zwrócić na siebie ogólną uwagę. Otóż odbywaliśmy doświadczenia z szandoliną na spodek wylaną, do której, dla rozniecenia jej płomieniem, zbliżyliśmy zapalną zapałkę. Materiał ten w takim stanie wydaje nam się równie palnym jak spirytus, dopiero po zbliżeniu do cieczy ognia od zapałki zażęga się płomieniem, pali się równo i jasno i nie pozostawia po sobie żadnego osadu. Spodek po wypaleniu się szandoliny był równie czystym, jak przed nalaniem jej. W obchodzeniu się więc z nią potrzeba takiej samej tylko jak przy zwykłym spirytusie ostrożności, wybuchu żadnego nie sprawia i zapala się dopiero po bezpośrednim zetknięciu się z ogniem. Lampki zaś urządzone są w ten sposób, że nie następczą powodu do żadnego wypadku, można je bowiem bezkarnie nachylić i przewrócić nawet. Wartoby więc pomyśleć także o zastosowaniu szandoliny do zwyczajnego oświetlania pokojowego, co się da podobno uskutecznić za pomocą nowego ulepszenia, jakie wynalazca zamierza w lampkach szandolinowych zaprowadzić.

* * *

Otrzymałmy różne zapytania listowne, w przedmiocie teatru letniego, o zamiarze założenia którego napisaliśmy w jednej z zeszłych kronik.

Powtarzamy że to zamiar dopiero i niewiadomo czy dojdzie do skutku; byłoby jednak do życzenia żeby doszedł. U nas teatr taki byłby prawdziwą nowością, bo każdy się zapewne domyśla, że nie idzie tu o wybudowanie wielkiego gmachu teatralnego, co by wymagało znacznych kosztów i czasu niemało. Teatr letni urządźć można w ogrodzie, wystawiwszy niewielki budynek, ze wszelkimi potrzebnymi przyborami na pomieszczenie sceny i garderob; miejsca zaś dla widzów pozostałyby na wolnym powietrzu, co wprawdzie pociąga za sobą czasem niedogodność znoszenia nagłych zmian pogody, ale zato następczą więcej swobody widzom i daje im możność odetchnięcia trochę wolniejszemu powietrzem, aniżeli w sali ze wszech stron zamkniętej. Idzie tylko o to, żeby głos artystów mógł być z każdego punktu dosłyszany, co już głównie zależy od umiejętnego urządzięcia miejsc. Bo łatwiej ze śpiewem aniżeli ze zwykłą mową, chociaż z drugiej strony sztuczki w takich teatrach odgrywane bywają zwykle bardzo ruchliwe, a w wielu miastach miejsce ich zastępują pantominy, co jest zupełnie racjonalne, bo wzrok dalej sięga aniżeli ucho. Wspomniemy przy tej sposobności, że pantominy, wykluczone z widowisk naszych teatralnych, w wielu krajach, a głównie we Włoszech, ważną bardzo grają rolę. Publiczność włoska za nic w świecie bez pantomin obejść się nie chciała. I nie idzie tu o proste tylko farsy, tam bowiem do pantominy każdy przedmiot się nagina; pantomina bierze często za tło znane wypadki historyczne, współzawodnicząc nawet z tragedją i dramatem, a aktorzy włoscy w takiej doskonałości posiadają sztukę wyrażania się gestami, publiczność zaś tak jest przyzwyczajoną do widowisk tego rodzaju, że wszystko staje się zrozumiałem i jasnym.

Włosi utrzymują, iż dla zwykłych nawet artystów dramatycznych, pantomina wyborną jest szkołą, gest bowiem w dramacie najważniejszą gra rolę, najtrudniej się nabywa, i u aktora który dobrze ovladnąć nim potrafił, oznacza najwyższy stopień wyrobienia. Tryumfem sztuki dramatycznej bywa zwykle dokładne wyrażenie uczucia jakie artysta ma oddać, za pomocą gestów jedynie i wyrazu twarzy. Ale

na to długie studia nieraz poświęcić trzeba i dla poczynających zwłaszcza nauka gestów niedostępnym staje się szkole.

U nas przedstawianie pantominy byłoby niepodobniestwem z tego głównie powodu, że nie znaleźlibyśmy do tego zdolnych artystów, a przynajmniej długi czas musiałby upłynąć, zanimby się tacy wyrobić mogli. Ale zato ruchliwe sztuczki na letnim teatrze, zwłaszcza przy towarzyszeniu śpiewu, z korzyściąby zastąpiły pantominy. Znaleźliby się i autorowie do pisania takich sztuczek na miejscowym tle osnutych, a niektóre i z zagranicznych repertoarów przyswoićby można; idzie tylko głównie o wybór, w czym pamiętać trzeba, że w widowiskach tego rodzaju względ przyzwoitości publicznej powinien być na pierwszym miejscu. Nie mamy nic przeciwko wesołości, jeżeli ona posiada przywilej zwabiania tłumów; niech jednakże wesołość taka w należnych utrzymaną będzie karbach. Ktobądź więc myśli o założeniu u nas letniego teatru, niechaj uwagę tę ma na względzie, bo w przeciwnym razie trudno mu będzie powodzenie trwałe osiągnąć, dobry bowiem instynkt publiczności, z początku nowością zwabionej, wprędce odciągnie ją od niezdrowej strawy.

* * *

Korespondenta żałującego się na wyniszczenie lasów i zwierzyny u nas, odsyłamy do dawniejszych numerów Tygodnika, niejednokrotnie bowiem dotykaliśmy już tej tak ważnej w gospodarstwie krajowym kwestyi, i nie my sami to czyniliśmy. Ale na spekulacyę i na głupstwo ludzkie niema hamulca. Dopóki istnieć będą spekulanci, oglądający się jedynie za zyskiem, i ludzie nierozważni, gotowi zniszczyć całą nadzieję przyszłości, dla ułatwienia sobie płochych jednej chwili wydatków, dopóty część ta zamożności krajowej z każdym rokiem niszczyć będzie. I cóż tu poradzą artykuły dziennikarskie, kiedy nic nie wskórają nawet zębne skutki takiej nierozwagi, jakie ci Herostatowie własnej fortuny mają przed oczami? Toż każdy szukający korzystnego dóbr nabycia, przedewszystkiem na las się ogląda, pragnąc sprzedaż jego spłacić część summy należnej. I tak dalej i dalej. Ten zniszczył połowę, inny pozostałość przepołowiu znowu, aż przyjdzie trzeci, który gospodarstwo swoje rozpocznie od przehandlowania starozakonnym reszty. Każdy powiada sobie, że znajdzie się drzewo w sąsiedztwie, a tymczasem i pan sąsiad na toż samo także rachuje i szuka tylko sposobu ubicia korzystnej leśnej spekulacyi. Śmiało powiedzieć można, że przez ostatnie lat kilkadziesiąt trzy czwarte lasów istniejących w królestwie, wytrzebione już zostały, a reszta trzyma się tylko z powodu braku dostatecznych komunikacyi i trudności dostawy.

Inny znów korespondent daje nam ważną bardzo kwestyę do rozwiązania, czy przyjechawszy do jakiego miasteczka, trzeba stangretowi udzielać strawne zaraz, czy też na godzinę dopiero przed wyjazdem. Wyznajemy z całą skromnością jaka nas cechuje, że rozwiązanie tej kwestyi przechodzi naszą kompetencyę, i radzilibyśmy korespondentowi udać się z tém do znanego francuzkiego dziennika *Journal des cochers des fiacres*, który zapewne rzecz tę, tak bardzo ogół obchodzącą, dokładnie rozwiązać potrafi.

Przegląd polityki zagranicznej.

15 marca.

Zapowiadany od tak dawna przez dzienniki zagraniczne ruch fenienów irlandzkich stał się faktem rzeczywistym. Urzędowe depesze z Irlandyi zawiadomiły, że w nocy z dnia 5 na 6 marca mała garstka ludzi zebrała się pod Dublinem i napadła na stacje policyjne, w zamiarze zrabowania broni. Napad ten nie powiódł się, fenieni cofnęli się i spotkali na swój drodze oddział policyi z 20 ludzi złożony. Zawezwani o poddanie się, odmówili i pierwsi dali ognia, lecz rozbici zostali przez konstabłów, straciwszy 5 zabitych i 38 jeńców. Toż samo powtórzyło się w Kilmallak i Drogheda, tak że w dniu 6 marca przyprowadzono już około 208 jeńców i znaczną ilość broni i amunicyi porzuconej przez powstańców. W ślad za temi pierwszymi de-

peszami, nadeszła także wiadomość o aresztowaniu amerykańskiego generała Massey, mieniącego się naczelnym wodzem rzeczypospolitej irlandzkiej. Zdaje się więc, że powstanie jest prawie przytłumione, tak iż rząd nie ogłosi już stanu wojennego i poprzestanie na wyznaczeniu odrębnej komisji do osądzenia powstańców. Z Londynu donoszą, że następczyni tronu, księżna Walii, zachorowała niebezpiecznie.

Dyplomatyczny stan kwestyi wschodniej trudnym jest do zbadania. Telegramy zeszłego tygodnia donosiły jednogodnie, że mocarstwa opiekuńcze porozumiały się w przedmiocie żądań ustępstw od Porty na korzyść chrześcian. Przedstawienie mocarstw opierać się miało na tém, że obietnice zawarte w hati-humayumie powinny być dotrzymane. Tymczasem, w skutek interpelacyi wniesionej w izbie gmin londyńskiej, minister Derby oświadczył, że gabinet angielski uważa żądania Kandyotów za przesadzone, a samo powstanie za sprawę wywołaną przez Grecyę. Jednocześnie prawie z tém oświadczeniem, dzienniki austriackie, szczególniejsze Presse, wprost utrzymują, że Anglia i Austria nie zgadzają się na odłączenie Tessalii, Kandyi i Epiru od Turcyi i przyłączenie tych krajów do Grecyi, co niby przez gabinet francuzki proponowanem być miało. Tymczasem na Wschodzie wszystkie żywioły burzą się przeciw Turkom, tak dalece że dzienniki zagraniczne z dnia na dzień oczekują wiadomości o ogólnym powstaniu. Niewiadomo także jak stoi sprawa serbska, podczas bowiem gdy telegramy zapowiedziały że w Belgradzie oczekują na firman sultański, dotyczący cofnięcia załóg tureckich i zburzenia twierdz, korespondencye z Serbii brzmią wojowniczo, uzbrojenia idą swoim trybem i znowu wspominają o zaczepnym przymierzu Serbii z Czarnogorą, na mocy którego ta ostatnia otrzymać ma po wojnie część Hercegowiny i pas adryatyckiego nadbrzeża. W Bukareszcie trwa dotąd przesilenie ministeryalne, zdradzające nieład w administracyi tego kraju.

Cesarz Franciszek Józef zjechał przed kilku dniami do Pesztu. Jakkolwiek dzienniki centralistyczne utrzymują, że podróż ta nie ma żadnego celu politycznego, zdaje się wszakże iż są w błędzie.

O posiedzeniach parlamentu północno-niemieckiego, dotąd nic godnego uwagi niema. Rozprawy toczą się obecnie za i przeciw przyjęciu projektu ustawy przedstawionego przez hr. Bismarck. W Berlinie krążyła pogłoska, że w ks. badeński postanowił rzec się tronu na korzyść króla pruskiego.

Posiedzenia ciała prawodawczego francuzkiego odbywają się jaknajregularniej, ale nawał pracy, głównie zaś kwestya nauczania elementarnego, nie dozwoliła dotąd izbie przystąpić do interpelacyi Thiersa w przedmiocie polityki zagranicznej. Na jednym z ostatnich posiedzeń rząd przedstawił projekt reorganizacyi armii francuzkiej. Projekt oparty jest na ustanowieniu 1) armii stałej z 400,000 ludzi, 2) rezerwy 423,000, 3) gwardyi narodowej ruchomej 450,000, co by wynosiło mniej więcej 1,200,000 żołnierza. Dodać tu wszakże wypada, iż wprowadzenie tego projektu w życie, w razie przyjęcia go przez izbę, wymagać będzie kilku lat czasu. Depesze z Florencyi, odebrane w Paryżu w dniu 12 b. m., zapewniają, że rezultat wyborów wypada dotąd na korzyść barona Ricasoli, pomimo zabiegów Garibaldeggo i stronictwa czynu. Przygotowania do otwarcia wystawy powszechniej odbywają się z jaknajwiększym pośpiechem i starannością.

Ostatnie depesze. Wiedeń, 14 marca. Z autentycznych źródeł zapewniają, że nastąpiło zbliżenie się w kwestyi wschodniej między Francyją i Austryją.

Konstantynopol, 14 marca. Dowództwo na wyspie Kandyi oddano Hussein-baszy. Na Kandyę i do Tessalii wysłano 10 batalionów tureckich. Ministerium pracuje nad kwestyą dóbr duchowieństwa tureckiego.

Peszt, 14 marca. Dziś przed południem ministerium węgierskie składało przysięgę wierności w obec cesarza.

Florenca, 8 marca. Italia utrzymuje, że nie było projektu małżeństwa księcia Karola rumuńskiego z księżną Małgorzatą sabaudzką.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Kościół igo Stanisława

NA SKAŁCE W KRAKOWIE.

Piękna ta świątynia, mogąca być ozdobą każdej stolicy, leży w ukryciu, gdzieś po za domostwami brudnego Kaźmirza, a ciekawy przybysz, pragnący zwiędzić pamiątki Krakowa, nie tak łatwo odszukać ją potrafi.

Chcąc się dostać do skaleckiego kościoła, trzeba najprzód przebyć przedmieście Stradom, ciosowy most na stariej Wiśle i część głównej ulicy żydowskiego miasta, a minawszy miejsce gdzie niegdyś stała brama gliniana, zapuścić się w jedną z wąskich i nieschludnych uliczek Kaźmirza, napełnioną ciężkimi wyziewami.

Na końcu tej uliczki stoi wspaniały kościół świętej Katarzyny, gotycki zabytek z czasów Kaźmirza Wgo. Po za tą świątynią oddycha się swobodniej, przechodząc aleję lip sędziwych, pomiędzy dwoma

drewniana kaplica świętego Michała, w której odprawiającego mszę Stanisława ze Szczepanowa zamordował król Bolesław Śmiały.

Kościół św. Michała był wówczas parafialnym i utrzymywał się w tym tytule aż do drugiej połowy XV wieku. Kaźmirz W. w miejsce drewnianego wystawił murowany. Jan Długosz, ulubiony zakon paulinów, wielkimi ofiarami ze swjej strony skłonił kapitułę, że pozwoliła z parafialnego kościoła obrócić go na klasztor, co w r. 1474 z nowym przemurowaniem nastąpiło. Wówczas to historyk nasz wystawił paulinom piękny klasztor i kupił im wieś na uposażenie.

Kościół jednak dzisiejszy nie sięga wcale Długoszowych czasów. Paulini, wzmógłszy się w dostateki przy pomocy Andrzeja Załuskiego biskupa krakowskiego, wystawili go w takim stanie, jak go dziś oglądamy. Budowa trwała blisko dwadzieścia lat i ukończoną została w roku 1754, w którym ją biskup poświęcił. Z upływem wieków paulini zapomnieli o swoim dobroczyńcy, tak iż kamień grobo-

ła trysnąć krew z mózgiem świętego. Ponieważ jednak w czasie zabójstwa był tu kościółek drewniany, a po nim już trzy inne nastąpiły, a zatem nietylko szczątków krwi, ale nawet ścian dawnych śladu nie pozostało, zabytek więc ten uważać należy jako prostą pamiątkę.

Na dziedzińcu kościelnym znajduje się sadzawka z kamiennym posągami biskupa w środku. Tu, wedle podania, miał wpaść palec świętego. Lud podczas odpustu tłoczy się tu niezmiernie, dla obmycia oczu chorych w celu uleczenia, lub zdrowych w celu zapobieżenia ich chorobie.

Kościół na Skałce przez większą część roku stoi w zapomnieniu, a nabożeństwo krótkie poranne zwabia tylko szczupłą liczbę chrześcian zamieszkałych pośród żydowskiego miasta. Z wiosną tylko ożywia się to miejsce. Po Wielkiej nocy, co piątek o w pół do szóstej z rana, odbywa się tu krótkie nabożeństwo. Według mniemań upowszechnionych pomiędzy mniej zamożną ludnością, która dzieweczka chce dostać dobrego męża, powinna na te piąt-



KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO STANISŁAWA, ZWANY NA SKAŁCE W KRAKOWIE.

klasztornymi murami biegnącą; nakoniec przebywa się bramę w murze i staje na obszernym dziedzińcu przed frontem kościoła igo Stanisława.

Na skałce kilka sążni wysokiej, a przyłdkiem wrzynającej się w Wisłę, stoi piękna budowla z frontyspisem pomiędzy dwiema wieżami, do której drzwi głównych prowadzą wspaniałe wschody ciosowe. Lube to ustronie jest już jakby z natury przeznaczone na przybytek Pański. Na zielonem wzgórzu, biała jak śnieg świątynia, kapiąca się krzyżami w falach błękitu i przeglądająca w modrém zwierciadle Wisły, wabi ku sobie ziemskimi kłopotami skolataną duszę na eichą i słodką rozmowę ze Stwórcą.

Lud krakowski twierdzi, że tu niegdyś istniała świątynia; kronikarze wzmiankują, że tutejszy kościół był katedrą, zanim ją przeniesiono na zamek, lecz obu tych mniemań nie stwierdza żaden dowód historyczny. Z pewnością zaś utrzymywać można, że już w jedenastym wieku stał tu kościół, a raczej

wy z napisem:

Joannes Długosz, de Niedzielsko, Illustrum Regionum informator, Canonicus Cracoviensis, hujus monasterii Primarius institutor, hic sepultus requiescit. A. D. 1480. Die 10 mensis Maii. Oretur pro eo.

wyrzuconym został. Szczątki znakomitego historyka złożono w katakumbach pod kościołem, a na zamurowaniu jest prosty napis na murze; *Hic jacent ossa Ill. Długoszi Canonici Cracoviensis, Chronologi Polonici.*

Po przebyciu trzech kondygnacji wschodów ciosowych, otoczonych takąż balustradą, wchodzimy do obszernego i jasnego kościoła. Kilka ołtarzy marmurowych zdobi jego wnętrze. W wielkim znajduje się piękny obraz Michała archanioła, pędzla Krakowianina Tadeusza Konicza. Po lewej stronie ołtarza głównego znajduje się inny, z wyobrażeniem św. Stanisława, mającego zagłębiony miecz w głowie. Obok ołtarza jest blacha mosiężna, z trzema otworami za szkłem, w miejscu gdzie mia-

ki uczęszczać. Ztąd też troskliwe matki nie omieszkują przybywać z córkami, a w ślad za nimi idą ci, co pragną znów dobre otrzymać żony. Wędrowki te pobożne o wiosennym ranku, w końcu kwietnia i przez maj trwające, mają pewien urok. Niejedna para skrycie zanosi modły o swe połączenie, niejedni nabożeństwo na Skałce zawdzięczają poznanie się wzajemne i późniejsze małżeństwo, a w wielu sercach na całe życie pozostają miłe wspomnienia.

Właściwa uroczystość odbywa się w dzień świętego Stanisława, 8 maja. Odpust ten, ulubiony przez Krakowian, takie ich ściągają tłumy, że nietylko kościół, ale i dziedzińiec, aleja i brzeg wiślany pomieścić nie mogą cisnących się, chociaż zmieniają się co chwila. Osobliwie też mnóstwo dzieci snuje się rojem, bo też tu taki dobór zabawek i przysmaczków, że im się najstalsze serduszko oprzeć nie zdoła. A niema tu ani lalek gadających, ani powozów samojazdów, ani innych wymyślnych a kosztownych zabawek, jakie drogo przepłacają zbytkujący

rodzice w tutejszym mieście; krakowska dziecina za złotówkę skaleckich zabawek dźwignąć nie zdoła, a starsi tém chętniej kupują je dziatwie, że sobie żywo przypominają upłynione lata, kiedy sami z utęsknieniem oczekiwali odpustu na Skalce.

Wl. L. A.

KORESPONDENCYA

Tygodnika Ilustrowanego.

Paryż, w lutym 1867.

Paris Guide. — Niebezpieczeństwo grożące kronikarzom. — Plotka. — *Petite presse*. — Znaczenie *Petite presse* i wpływ jej na publiczność.

Niemal pewny jestem, iż w osłupienie wprawię czytelników, gdy do wiadomości ich podam pewną spółkę, zawiązaną w celu napisania i wydania pewnej książki. Książka to będzie nadzwyczajna, jakiej jeszcze nie bywało, książka-cud. Współpracowników, którzy do napisania jej rękę przyłożyli, naliczyłem tchem jednym do osiemdziesięciu, a co za współpracowników! Na czele Wiktor Hugo, po nim Lamartine, Thiers, Guizot, Ludwik Blanc, Jules Simon, Michelet, Renan, Saint-Beuve, Georges Sand, Theophile Gauthier, Emil de Girardin, Jules Janin, Aleksander Dumas syn, Eugeniusz Pelletan, Berryer, Jules Favre, Ernest Picard, Alfons Karr, etc. etc. etc., same znakomitości zebrane w jeden bukiet, który będzie kosztował franków tylko dwanaście. Książka owa, będzie to przewodnik po Paryżu. *Paris-Guide*, taki ma być jej tytuł. Wyż wymienieni pisarze i mnóstwo innych rozebrali pomiędzy siebie różne strony tego miasta-olbrzyma i każdy obróbił inny przedmiot. Wiktor Hugo napisał przedmowę. Ludwik Blanc opowiada o starym Paryżu. Jules Simon prowadzi czytelnika do więzień i odkrywa przed nim tajemnice, jakie te straszne zawierają mury. Georges Sand wzięła na siebie wdzięczny przedmiot ogrodów i parków. Alfons Karr oprowadza czytelnika po targowiskach kwiatów. Były prefekt policyi, pan Ducoux, wozi fiakrami i remizami. Dumas syn, Roqueplan, Augier i Ulbach pouczają go o teatrach. Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczyć wszystkich pisarzy i wszystkie przedmioty. Zrobiłaby się długa litania nazwisk, nazwisk głośniejszych i sławnych, a mówiących wyraźnie jedną rzecz mianowicie, że

wydawca tej książki musiał grubo na nią wyłożyć. Jakoż kosztuje go ona ogromną sumę dwóchkroć stu tysięcy franków.

Czy te nazwiska, czy ten koszt są rękojmią jej wewnętrznej wartości? Jest to pytanie arcydrażliwe. Na wartość jej bowiem można zapatrywać się dwójako: pod względem piękności i pod względem uży-

teczności. Co się tyczy pierwszej, prawie się jest pewnym, że pióra znakomite, wsparte przepychem wydania i ilustracyami, na które złożyć się mają umarli i żyjący artyści, jak Ingres, Gavarni, Meissonnier, Viollet-Leduc, Rosa-Bonheur i inni, wywiążą się z zadania swego, jeżeli nie świetnie (świetność nie przychodzi na zawołanie, nawet u wielkich pisa-

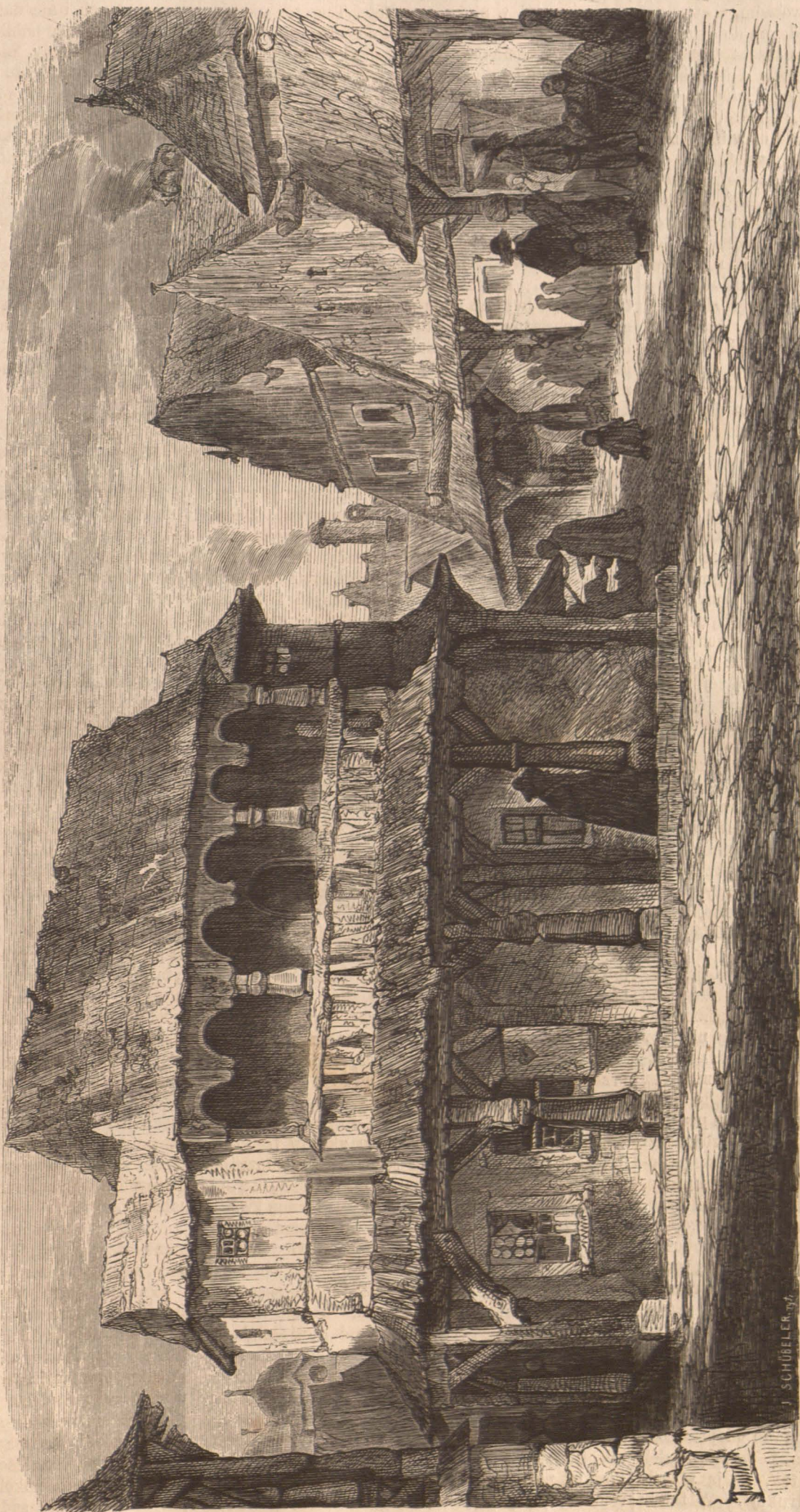
Zresztą, zobaczymy. Sądu naprzód wydawać nie godzi się, można tylko wyrazić wątpliwość, do której upoważniają nas niby grzyby po deszczu wystające z pod ziemi różne przedsięwzięcia, obrachowane na ludzką łatwowierność. W tej książce, mającej się ukazać w wigilię wystawy, co ma zgromadzić rzesze po raz pierwszy w życiu stolicę Fran-

cy oglądające, uwydatnia się z góry spekulacja, interes wydawcy, rachującego na ciekawość. Będą ciekawi, trzeba im dać coś na pastwę. A może być pastwa przyjemniejsza nad książkę-bukiet, którą każdy kupi, jeżeli nie na przewodnika, to na pamiątkę? Powodzenie jej z góry jest zapewnionem. Daremnie stawałbym tu tamy wątpliwości. Wolę poczekać aż książka wyjdzie z druku, a wówczas pomówimy o niej. Być może iż będzie ona taką w swoim rodzaju doskonałością, że uczyni zupełnie zbytecznym bywanie w Paryżu. A cóż! jeżeli go opiszę i w rysunkach przedstawi, i za dokładność setką znakomitych imion poręczy, to po cóż jechać? czy po sprawdzenie? Byłoby to ubliżeniem dla Hugów, Blanców, Guizotów, Thiersów, Sandów, Janinów, Neletonów, słowem dla wszystkich razem i każdego z osobna, co za nią ręczę.

Ale także, bez ubliżenia im, czyż będzie można pisać nadal o Paryżu? Co za znaczenie będzie miało pisanie jakiegoś tam sprawozdawcy *obscure*, jakiegoś kronikarza polującego na natchnienie po feuletach dzienników paryskich?! kto im uwierzy? kto ich zechce czytać? Pod tym względem, kto wie, azali ta książka nie będzie stanowiła epoki, pozbawiając chleba tyle setek ludzi żyjących z....

Wyraz który miałem napisać i który napiszę, nagle uspokoił mnie o los kronikarzy, sprawozdawców i korespondentów żyjących z.... plotek. Tego pokarmu nie zbraknie nigdy. Niewyczerpane to źródło, mające tę właściwość, że im więcej z niego się czerpie, tém obficiej przybywa. Plotka jedna tworzy drugą, z dwóch powstaje cztery, z czterech osiem, następnie szesnaście, i tak dalej, coraz to więcej i więcej, mnożąc się w stosunku geometrycznym bez końca. Jest to pasmo, któremu, gdy się je rozsuwa, nitki przybywa. Trafic do początku tego pasma, nie sposób: nadaje się tylko do rozsuwa-

nia, którem bawią się wszyscy bez wyjątku ludzie mieszkający na naszej planecie, wszyscy poważni i niepoważni, starzy i młodzi, piszący i nie piszący do płci jednej i drugiej. Nie wyobrażam sobie człowieka, któryby do tej tkaniny ręki nie przyłożył, bądź jako dostarczyciel surowego materiału, bądź jako przerabiacz, bądź jako upowszechniciel.



DOMY DREWNIANE W WISŁCZU, przed pożarem w d. 3 lipca 1863 r. (Rysował z natury Matejko).

J. SCHÜBELER.

Ciekawym byłoby studium nad plotką. Zdaje mi się, że jest to materya, której się dotykało wielu, ale nikt jeszcze nie ujął jej obiema rękami, nie postawił i nie zrobił z niej przedmiotu wyczerpujących rzecz do dna badań. Ślizgano się po nim od niechcienia, a przecież jest to przedmiot grający bardzo ważną w prywatnym i publicznym życiu rolę. Zajrzawszy za kulisy wielkiego świata, cóż tam tego!.... A w życiu prywatnym, w stosunkach zwykłych śmiertelników jednych do drugich, cóż tam tego!.... Studując tę rzecz, trzeba przejsz kolejno wszystkie warstwy społeczne i wszystkie pola działalności ludzkiej, i wykazać jaką to nieraz potężną dźwignią staje się... plotka, będąca pół prawdą, pół zmyśleniem, często niewinna, niekiedy brzemienna wielkimi następstwami.

Nie myślcie ażeby zamierzał, korzystając z gościnności w kolumnach waszego pisma, kręślić tutaj monografią plotki. Daleki jestem od tej myśli, której, mówiąc nawiasem, nie byłbym w stanie podołać, a gdybym i był, to rozwiązania jej nie wytrzymałyby może kolumny Tygodnika. Musiałaby się rozwinąć w tomach przynajmniej pięćdziesięciu, oraz w dodatkach i przypisach, któreby trzy razy tyle wyniosły. Wspomniałem o plotce dlatego jedynie, że oddawna już na sercu mi leżało odpowiedzieć na pewną insynuację, uznaną za prawdę ztąd tylko, że powtarzają ją ludzie jedni za drugimi. Utrzymują powszechnie, iż kuźnią plotek są małe miasteczka.

Nieprawda!....

Jaknajbardziej stanowczo staje w obronie miasteczek, choć nie powiadam iż plotek w nich niema. Przeciwnie, jest tyle, ile tylko być może najwięcej, ile miasteczko wytrzyma, bez wylecenia, jak rakietą, w powietrze, bez rozplynięcia się, jak Sodoma i Gomora, w słone morze. Lecz w tymże samym stosunku są one i w wielkich miastach, z tą jedynie różnicą, że położenie ich w miasteczkach podobnym jest do położenia rybek w płytkiej wodzie: widać je jak na dłoni. Chociażby która najgłębiej nurka dała, nie ukryje się. Można śledzić każdy jej ruch: zkad wyszła, w którą stronę dąży, jaki ma ukryty zamiar, kiedy zwinęła kominka. Wszyscy ją obserwują; a że każdy z mieszkańców, przynajmniej raz w miesiąc, umyślnie lub nieumyślnie, tworzy jakąś ploteczkę i w świat puszcza i że każda przechodzi przez różgi męzkich i niewieścich języków, przeto powstaje z tego gwar, chaos, pomieszanie pojęć i języków, istna wieża babilońska, przy budowaniu której rej wodzą dewotki. I wszystko to dzieje się na jednym i tym samym poziomie, spajającym całą ludzkość w jeden teatr plotkarskiej działalności.

W wielkim mieście, takim naprzykład jak Paryż, plotka rozkłada się na poziomy, a raczej na piętra, i krąży, nie trzymając się we względzie krążenia żadnego prawidła. Jedna rodzi się na ulicy i na ulicy umiera. Druga z ulicy wchodzi do izdebki portiera i ztamtąd albo jednym rzutem, przez elewację, dostaje się na siódme piętro, do mandsardy, albo też zatrzymuje się niżej. Inna poczyna się gdzieś we środku na beletażu, i albo rozchodzi się na dół i do góry, albo też trzyma się swego poziomu. Są plotki dworskie, gabinetowe, buralne, salonowe, teatralne, handlowe, finansowe, militarne, literackie, artystyczne, klerykalne, brukowe, są smutne, wesołe, pocziwe, zbrodnicze, pobożne, bezbożne, są słowem tak różne, jak różnemi są w społeczeństwie stan, wiek, zatrudnienie, temperament i interes. Obserwowanie ich jest trudnym, prawie niepodobnym, bo mieszkańcy Paryża nie znają się pomiędzy sobą wszyscy. Żyją kółkami i grupami. Z tego powodu plotka, zrobiwszy swoje w pewnym kółku, przechodzi do drugiego, z drugiego do trzeciego, i tak dalej, i obiegłszy całe miasto, wraca nieraz do gniazda, ale zmieniona do niepoznania. Gniazdo przyjmuje ją jak obcą i puszcza dalej. Najczęściej jednakże dzieje się tak, że ją w locie podchwytuje jaki dziennikarz i drukuje. W takim razie nabiera ona wielkiej powagi, staje się wiadomością. Niektóre tego rodzaju wiadomości dostępują zaszczytu, że je telegramy na wszystkie strony świata roznoszą. Ileż to plotek ten zaszczyt spotkał!

Dawniejszemi czasy gniewano się za plotki, zwłaszcza jeżeli się pokazało jakoweś podejrzenie pod względem ich prawdziwości. Biędni dziennikarze byli istnymi męczennikami. Zadanie ich było nadzwyczajnie trudnym. Podawaj tu wiadomości najświeższe i sprawdzaj je, gdy na sprawdzanie niema czasu, gdy dojdzie do źródła bywa zwykle niepodobnym i gdy wiadomość dobra dziś, we dwadzieścia cztery godzin później nie zdałaby się już na nic. Cóż było począć? Innej rady nie było, tylko nie zważać na krzyki i narzekania, karmić czytającą publiczność plotkami i karmić ją tak długo, aż się do tej strawy przyzwyczai i w niej rozsmakuje. Tego też sposobu dziennikarstwo się chwyciło i dopięło swego. Publiczność rozsmakowała się w plotkach do tego stopnia, że ich załaknęła.

I stało się łaknieniu publiczności zadość. Dla plotki powstał nowy rodzaj dziennikarstwa, tak zwana *petite presse*.

Petite presse nie jest niczem innym, tylko plotką, ujętą w formy dziennikarskie.

Prawiono o niej różne piękne rzeczy. Pierwsze pojawienie się susowych dzienniczków, powitanym było jako zaranie nowej ery. Miały niby one popularyzować wiedzę i rozbudzać w masach ochotę do czytania. Bajki! prześwietny sądzie. Możeby to i wyszło było na popularyzowanie i rozbudzanie, gdyby poważne dziennikarstwo, a jeżeli nie dziennikarstwo (któremu to może było niepodobnym), to publiczne wychowanie przygotowało grunt. Ale z gruntem stało się tak. Ci co umieli i chcieli czytać, mieli i co czytać i z czego czerpać wiedzę; lecz im to nie wystarczało, z powodu że owa wiedza przedstawiała się w formach spowszedniałych i nie podawanych systematycznie. Sypane, niby z rogu obfitości, wiadomości czepiały się głów, jako rzeczy ciekawe i jako takie szły w zapomnienie. Dziennikarstwo poważne, z powodów których wyłuszczenie zajęłoby dużo w korespondencji miejsca, niezadawało czytelników, znudzonych łamanymi sztukami wstępnych artykułów politycznych i niepolitycznych rozpraw i korespondencyj, poszukujących czegoś lekkiego, czegoś coby w czasach niewesołych i niedowcipnych wywołało uśmiech na usta. Faktem jest, że na dziesięciu czytających dzienniki, dziesięciu opuszczało wszystkie dziady o poważnych traktujących kwestyach, porzastając na jednym, na tym, który nosi tytuł *Faits divers*, a który jest nie czem innym, tylko zbiorem plotek. Owe zbiory, pojawiające się codziennie, miały czytelników mnóstwo, lecz dorywczych, odwiedzających szynki i kawiarnie, mogące łożyć na trzymanie wielkich dzienników. Dzienniki zadużo kosztowały, ażeby je każdy był w stanie prenumerować, pomimo że każdy, a szczególnie każda z posiadających sztukę czytania, pożeranymi byli ochotą bądź wiedzenia się czegoś nowego, bądź sprawdzenia wiadomości krążącej w powietrzu. A iść po to do kawiarni lub estamietu, nie każdy i nie każda ma czas, a chociażby się i czas znalazł, to znów przebiecie się do dziennika przez mnogość czytających, stawało się niekiedy trudnością nie do przełamania.

Petite presse usunęła z przed czytelników wszelkie przeszkody. Susowy dziennik stał się przystępnym dla ogromnej większości czytających. Łatwość nabycia onego, wyzwoliła ich od kawiarnianej zaleźności. Nie zamieszcza on ani artykułów treści politycznej, ani naukowych rozpraw; żyje dowcipami i plotkami od pierwszej do ostatniej stronicy, dowcipami i plotkami, które w formie kroniki i potocznych wiadomości służą wielkiemu dziennikowi jako okrasa i ponęta. Jest to więc ułamek wielkiego dziennika. A że ten ułamek obchodził żywo publiczność, dowodem służyć może łapczywość z jaką się na niego rzucono. Za ledwie się dzienniczek pojawił, za ledwie publiczność dowiedziała się że kosztuje tylko susa, a niesie tylko plotkę, natychmiast listy prenumeracyjne okryły się stami tysięcy podpisów, a kolporterzy nie mogli nastarczyć egzemplarzy. Powodzenie jakiego doznał, słusznie nazwać można szalonym. Kiedy inne dzienniki i czasopisma, stosunkowo niedrogie, dziesiątków lat potrzebowały na dobiecie się jakiej takiej reputacji, reputacja dzienniczka, w drugim dniu jego istnienia, prześcignęła wszelkie najzuchwalsze rojenia wszystkich jacy kiedykolwiek we Francji byli redaktorów.

Powodzenie to dowodzi dwóch rzeczy: 1) jak wielką rolę gra plotka w paryzkim świecie; 2) że *petite presse* bynajmniej nie rozbudziła ochoty do czytania, lecz tylko zaspokoila potrzebę, trafiła, że tak powiem, publiczności w sedno, w jej gust, w jej pociąg.

Jako sposób rozpowszechniania wiedzy, jest to środek wcale nieszczególny. Nie można go na ten cel używać, chyba by wiedzę ubrać w sukienkę plotki, co mogłoby najfatalniejsze dać rezultaty. Przytęm któryżto dzienniczek chciałby się hazardować na podobne, pełne niebezpieczeństwa przedsięwzięcie? Zahazardowało się parę i zrobiło najzupełniejsze *fiasco*. Publiczność odradu poznała się na farbowanych lisach i nie dała się wyprowadzić w pole. Jest to dowód, że publiczność francuzka wie czego chce, że czytelnicy nie potrzebowali bynajmniej rozbudzenia ochoty do czytania, lecz z ochotą tą czekali w pogotowiu, doczekali się i mają niezłomną wolę nie dać się podejść szerzycielom światła. *Vox populi* oświadczył się stanowczo za plotką *au moyen du suffrage universonel*; plotki chce i za plotkę płaci i biada temu, kto by pod postacią plotki odważył się przekraść coś, co pachnie wielką prasą. Na zuchwalca podobnego czeka niemy ostracyzm, który go skaże nie na śmierć, ani na banicyą, ale na wszystkie okropności głodu, chłodu, dziurawych butów i wytartego surduta. Któżby tam się narażał na podobne rzeczy?! zwłaszcza gdy łatwe zadosyćczynienie chceniu niewybrednej publiczności wynagradza się jaknajswociej.

Petite presse niedawno wystąpiła na dziennikarskiej widowni, a już spanoszała. Wielka pani! jeździ karętą; stangret w żółtych spodniach, czerwonej kamizelce, zielonym fraku i turkusowym melonku powozi z konia, ściągając na siebie uwagę gapiów, z których niejeden wyduje susa na *Petit Journal* dlatego tylko, że widział go w karécie na ulicach stolicy. Z tego sądzić możecie, co jest właściwie owa *petite presse*.

Przed laty ulice Paryża oglądały odznaczającą się szczególnością kształtu karétkę, w której jeździł sławny dentysta, rwący zęby za pomocą wystrzału z pistoletu. Karétką była jego sklepem. Innego zakładu nie posiadał, pomimo że był to człowiek, który sztukę rwania zębów doprowadził do najwyższej doskonałości. Zręczność jego sownie się mu opłacała. Zebrał znaczny majątek, dający mu możność życia bez troski, nie pracując, a przynajmniej otworzenia pracowni, któraby go uwolniła od potrzeby włóczenia się po ulicach. Przyjaciele przedstawiali mu to. On na ich przedstawienia jedną niezmienne miał odpowiedź:

— Stracę na dochodach i wziętości...

I do śmierci jeździł karétką i rwał zęby za pomocą wystrzału z pistoletu.

Zdaje się, że *petite presse* trzyma się drogi owego dentysty. Spanoszała już; mogłaby wycofać się na dożywotnią rentę lub błazeński ton zmienić na poważny. Nie czyni jednakże tego. Snadź, nie syta mamony, pragnie nie stracić dochodów, nie syta sławy, pragnie nie utracić na wziętości. Jest wielką panią, oraz nadwornym błaznem plebsu paryzkiego, umysłową delicyą episyera, który we wszystkim co bądź jest poważnym, bądź humorystycznym, podejrywa albo zasadzkę na swoje kieszeń, albo obrazę osobistą. Jedna *petite presse* dogadza mu jaknajzupełniej. A że on obecnie jest panem sytuacji, przeto za jego rekomendacją rozchodzi się ona po wszystkich sferach i piętrach społecznych, niosąc oczyszczoną ze wszelkich dodatków i naleciałości plotkę wszędzie, gdzie się nią interesują. A gdzie się nią nie interesują?... Za jego rekomendacją dziennikarstwo z Paryża wydoszło się na prowincyą... szerząc... doprawdy... zarazę.

Cóż-bo to jest, ta *petite presse*? Rozpatrzywszy się w nią, widzi się nic, głupstwo, nadające się najlepiej jako bibuła do sklepikowego użytku, jednakże tworzące pewien rodzaj skorupy na umyśle i sercu, skorupy broniącej umysł i serce przeciwko pocziwym zasadom i szlachetnym uczuciom.

Powiecie że wszelki dziennik, to bibuła. Przepraszam. Bibuła ta ma swoją wartość dziś i swoje znaczenie w przyszłości. Dziś jest spowiedzią sumienia żyjącego pokolenia. Podług tej spowiedzi przyszłość będzie sądziła o wewnętrznej wartości Paryżan, uznanych za przewodników na drodze postępu.

Winszuję, ale nie zazdroszczę wyroku, jaki dostanie się Paryżanom, a przez nich i nam. Wyobrażam sobie jakiegoś uczonego za lat sto, rozczytującego się w kolekcjach *petit journal*ów. Co to on sobie pomyśli, zwłaszcza gdy porówna statystyczne wykazy prenumeratorów!...

Ale mniejsza o to. Co tam przyszłość! Jeszczeby też o nią kto się troszczył, gdy teraźniejszość tak dobrze się układa. Fraszki płyną jak woda, a więc: *ogue la galère!* Niech publiczność sama sobie winę przypisze, jeżeli strawa której ona łaknie nie wyjdzie jej na zdrowie. Cóż to za strawa? W artykule wstępnym, niby to coś nauczającego, jakiś skrócony wyjątek z encyklopedyi, naszpikowany odgrzewanymi konceptami; dalej wiadomości potoczne, nożyczkowy fabrykat; dalej reklamy, udające krytyczne poglądy na literaturę, sztukę, teatr, handel, na wszelkie objawy towarzyskiego życia; anonse, a u spodu dzienniczka felieton, zawierający powieść... straszną, to jest nadzianą okropnościami, w obec których wzdryga się natura ludzka. Ot i wszystko. Jest co czytać. Tylko zachodzi pytanie: co większy na umysły i wyobraźnię czytelników wywiera wpływ — czy owa homeopatycznie udzielana nauka w artykuliku wstępnym? czyli też sens moralny, dający się wyciągnąć z potocznych wiadomości i felietonu?

Moje zdaniem, owa nauka jakby jej nie było. W masie innych przedmiotów przechodzi ona niepostrzeżenie. Założyłbym się, że na sto czytelników, ledwie może jeden czyta wstępny artykuł; dziewięćdziesiąt dziewięć rzuca się od razu na wiadomości potoczne, a te w migotliwy sposób przesuwają im przed oczami różne fakciki, pomiędzy którymi wydatną rolę grają zdarzenia wykazujące, jak to z niczego można zrobić coś, czyli, jak z piasku da się biec ukreć. Nie podają one wprawdzie sposobów, nie dają recept na suchoty kieszeni, tylko przykłady, bez końca przykłady szczęśliwych zwrotów fortuny; co się zaś sposobów tyczy, to domyślny czytelnik sam się o nie postarać powinien. Przykłady wprowadzają go na bity szlak, a na nim niech się sam kieruje. Wszak tylu się wykierowało!...

Szkodliwszymi jednakże niż przykłady, są owe okropności powieściowe — okropności, wzięte żywcem z procesów kryminalnych i oświetlone bengalskim ogniem sztuki. W oświetleniu tém obrzydliwość zmienia się w pewien wdzięk nie pozbawiony ponętności. Bohater dusiciel, bohater truciciel, bohater rzeźmieszek, odpowiednio upozowani i w przyjaznej ustawieni perspektywie, wydają się, doprawdy, nie prostymi zbrodniarzami, ale bohaterami, zawierającymi głowy czytelnikom i czytelniczkom, czującym w sobie zawczasu skłonności do heroizmu, jeszcze bezimiennego. Dzienniczki impuls im dają — i ci idą drogą przeznaczenia, kończąc na galerach lub w domu rozpusty.

O! smutnym świadectwem epoki jest *petite presse*, którą się zachwycano. Rzeczywiście temu zaprzeczyć nie można, że tani, każdemu przystępny druk jest dobrodziejstwem, ale względem. Znam tanie i przystępne druki, nie demoralizujące publiczności. Można je znaleźć w Anglii.

Ale to nie moja rzecz pisać o *posepnym Albionie*. Zresztą i miejsca na papierze już brak. Założyłem sobie dowieść, że Paryż jest kuźnią plotek. Zdaje mi się że dowiodłem com sobie założył. Pokazałem plotkę w gościnie w kolumnie wielkiego dziennika. Z tej gościny wykradła się ona i stworzyła dla siebie osobną literaturę, zbudowała sobie pomnik z bibuły, który czy potrwa długo? nie wiem.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

IX.

Pomimo optymistów, rok ten nie zwiastuje o-wych nadzwyczajnych powodzeń, o jakich była mowa przy życzeniach świątecznych. Urosło nam w ostatnich czasach kilka nowych wulkanów, ziemia się pod stopami spokojnych mieszkańców zaczęła kołysać w Algierii i Grecyi, mieliśmy niedawno dęszcz gwiazdzisty, na południu śniegi, które między Lyonem aż do Cette drogi zatamowały... słowem niezliczone klęski i strachy. Na pociechę została nam wystawa paryzka, na którą mało kto pojechać będzie mógł, kiedy dla prostych wyrobników mających ją zwiędzać rząd pruski wyznaczył dziennie po trzy talary, a angielski po dziesięć szylingów. Miarkujemy z tego, ile potrzebować będzie człowiek

do cokolwiek wygodniejszego życia nawykły, a chcący coś widzieć i samą wystawę zbadać trochę głębiej.

Już dziś rosna, z powodu oczekiwanego napływu, ceny mieszkań i jedzenia tak straszliwie, iż miejscowi mieszkańcy myślą, czyby nie lepiej wynieść się gdzieś na wieś. Mówią o petycji urzędników do cesarza Napoleona, domagającej się podwyższenia pensyi na czas wystawy. Popłoch kieszeni jest powszechny, ale ciekawość wzrasta; zwłaszcza ci ludzie, którzy mają skłonności do ciśnienia się tam, gdzie największe idą tłumy, wcześniej przewidują konieczność odwiedzenia Paryża w czasie zalewu cudzoziemców. Co do nas, szczerze ubolewamy nad tymi, którzy będą zmuszeni wpaść w tę otchłań, w ten chaos i Babel, a bardziej jeszcze nad spokojnymi obywatelami stolicy, których te tłumy pochłonią i porwą swym wirami.

Przez czas jakiś musicie się do tego przygotować, że wam powołani i niepowołani korespondenci, choćby od Paryża dalecy, mimowolnie o wielkiej uroczystości donosić będą zmuszeni. Jest ona w istocie dla nauki, sztuk i rzemiosł niezmierniej wagi, choć dla gawronów (jak ich u nas dawniej zwano) prostą tylko będzie zabawką.

Spekulacya ta paryzka może mieć dla ludzkości wielkie następstwa, dając niespodziewane skazówki do ulepszenia wielu spraw rękodzieł, rzemiosł, techniki; ale na nie przydłużej czekać będziemy musieli.

Zechciecie mi wybaczyć ten wstęp prawie mimowolny. Wiek nasz, to wiek praktyki przedewszystkiem i praktyczne rezultaty są dlań najżywiej zajmującymi. Wystawa też szczególnie praktyczne skutki ma na celu, teorye z niej niewiele skorzystają. Nie będę zapewne pierwszym, donosząc wam iż wydział rolniczy i machin gospodarskich na szeroką skalę, oddzielnie w rodzaju formy *ad hoc* założonej, będzie praktycznie reprezentowany i doświadczeniami wsparty. Choć jeszcze nam bardzo daleko do tego, byśmy o tak kosztownych ulepszeniach myśleć mogli, jakie tu wyprobowanymi być mają, i dla naszych gospodarzy nie bez pożytku byłoby obejrzenie tego, czém się najwyżej posunięte rolnictwo chlubić dziś może.

Ponieważ między nawiasami mówimy o rolnictwie, niechże mi wolno będzie jeszcze donieść, że nowe ziarno, mogące się i u nas zapewne przyswoić, na Morawach wyprobowane zostało dosyć szczęśliwie. Jest niemi ryz górny, czyli suchy (oryza sicca), który, jak się zdaje, nie potrzebuje zalewu i zbyt mokrego gruntu. Pan K. von Reichenbach w Błańsku na Morawie, o dwie mile na północ Brna, na wysokości około tysiąca stóp nad poziomem morza, robił próby z posiewem tego ryżu, który jest odmianą tylko *oryza sativa* i ma nieco mniejsze ziarno, krótszą słomę i krótszego czasu do dojrzałości potrzebuje. Gdy pospolity wymaga sześciu miesięcy, górny potrzebuje czterech tylko i uprawianym jest w Indyach przez mieszkańców okolic górzystych. Nie wiemy dokładnie jeszcze o ile wilgotnego i wodą zalanego wymaga gruntu. Spodziewają się wprowadzić go do południowych Niemiec, a w guberniach podolskiej, kijowskiej i w stepach ku morzu Czarnemu pewnieby bez trudności dojrzewał, jeśli zbyt wielkiego starania w podlewaniu nie potrzebuje. Próby p. Reichenbacha dalsze okażą, o ile korzystną być może uprawa tego ziarna.

Przepraszając za ten nawias, zawczasu trapię się myślą, że wiele jeszcze podobnych na teraźniejszą korespondencyą składać się będzie. Literatura i sztuka nie dostarczają nam w tej chwili materiału dość żywotnego, byśmy się nim zasilili mogli. Więcej daleko jest ruchu i życia w naukach; więcej ciekawych rezultatów dają poważniejsze prace, które z każdym dniem przystępniejszymi dla ogółu się stają.

Stanowi to wielką różnicę nauki dawnych od bliższych nam wieków, że w tych ostatnich, zamiast się osłaniać tajemnicą i wybranym tylko udzielać adeptom, wszelka wiedza natychmiast przechodzi na własność ogółu i zniża się do jego pojęcia. Nie można zaprzeczyć iż umiejętności, choć powierzchownie, przystępniemi się stały masom, a widzieliśmy w Anglii że niejedna wiadomość w głowie nieuka może być iskrą do wielkich wiodącą ulepszeń i wynalazków, szczególnie w praktyce. Nie tracą na tém uczeni, że się dzielą owocami swojej pracy, a

mają tę wielką pociechę, że ich zasługi szerzej i lepiej są uznawane.

Gdy mowa o wynalazkach i odkryciach, o sztuce, rękodzielnictwie i pracy, sądzę że nie od rzeczy będzie donieść wam, iż obszerne a bardzo ciekawe dzieło, wydawane w Lipsku u Ottona Spamer'a, pod tytułem *Księga odkryć, rękodzieł i przemysłu* (*Das Buch der Erfindungen, Gewerbe und Industrien*) nakoniec cała w sześciu tomach ukończoną została ogólnym poglądem na odkrycia wszystkich ludów i wieków. Pożyteczne to dzieło w pięćdziesięciu kilku zeszytach, z tysiącem ośmiuset ilustracyami, wartoby przełożyć na język polski. Stanowiłoby ono rodzaj dopełnienia do pięknej Księgi przyrody, którą przysłużyła się czytającym i pragnącym nauki księgarnia Gebethnera i Wolffa. Już to samo że tego rodzaju przekład ustaliłby, a może do pewnego stopnia po raz pierwszy dał poznać terminologią sztuk i rzemiosł, wielkąby było zasługą. Nie wątpimy że się ktoś tego przedsięwzięcia, które być musi pracą zbiorową ludzi fachowych, prędzej lub później z zastosowaniem do potrzeb miejscowych podejmie. Byłaby to księga i niezmiernie zajmująca, i wielkiego pożytku, a sądzimy że gdy całe dzieło w Lipsku nie kosztuje nad dziewięć talarów, u nas też droższemu nie wypadło.

Jeden z przedsiębiorców lipskich począł był też, czy zamierzył, wydanie wspaniałej Biblii polskiej, z mnogimi ilustracyami na drzewie i stali (Payne). Widzieliśmy prospekta i pierwsze zeszyty, nie wiemy wszakże jak daleko postąpiło tej myśli urzeczywistnienie i czyby się ono, mimo przystępnej ceny, okazało praktycznym. Zdaje się że rzecz jest w zawieszeniu. Zapowiedziane także i gotowe zupełnie dzieło pana Essenweina o zabytkach starożytnych (budowniczych) Krakowa, mimo kilku rozdanych egzemplarzy, dotąd w handel księgarski nie weszło, dlatego szerzej o niem powiedzieć jeszcze nie możemy, chociaż je oglądaliśmy. Wydanie jest przepyszne.

Ale to wszystko nawiasowo, gdyż na nieszczęście nastrecza się coś ciągle, czego pominąć się nie chce, a co wcielić niewygodnie; dla tej więc ułamkowości sprawozdania błagamy o pobłażanie.

Gdyby mi na myśl nie przyszła fotografia, tak u nas rozpowszechniona, nie wiedziałbym co dalej. Szczęściem ratuje nas ona jako tako, i miło nam oddać jej tę sprawiedliwość, że niezawsze trzusi się odwzorowywaniem przekrzywionego oblicza ludzkiego. Znajdujemy ją, szczególnie w Anglii, czynną pomocnicą astronomii. Najchlubniejsze to może jej zastosowanie, przed niedawnymi czasami jeszcze wcale nieprzewidywane nawet.

Wiadomo że wprędce po wynalezieniu fotografii próbowano ją zastosować do narzędzi obserwacyjnych w ten sposób, aby same zapisywały z jej pomocą rezultaty stopniowych zmian temperatury, wysokości barometru i t. p. W obserwatorium w Greenwich, o którym tak zajmujący artykuł niedawno umieściła *Revue des deux mondes*, fotograficzny aparat notuje najmniejsze poruszenia igły magnusowej. Zaczęto także próbować studyów nad plamami słonecznymi z pomocą fotografii. Pierwszy John Herschel porównał działanie chemiczne promieni słonecznych środkowych, z promieniami brzegów tarczy, i obrachowano że o 3—5 razy działają mocniej.

PP. Bond z Cambridge, oraz Whipple i Black z Bostonu, pierwsi na płycie daguerotypu otrzymali obraz księżyca. W r. 1852 Warren de la Rue w 10—do 30 sekund zdjął obraz księżyca na kolo-dyonie, z pomocą reflektora. Zbyszało jednak na właściwym urządzeniu teleskopu, któreby go posuwało za ruchem księżyca; musiano tę czynność od ręki i naturalnie niedosyć dokładnie dopełnić, a choć otrzymane wizerunki były bardzo piękne, wiele wszakże pozostawiały do życzenia. W r. 1857 Warren de la Rue zbudował aparat automatyczny do teleskopu, użył nowych chemicznych działaczy i wypadki jego studyów przewyższyły wszystkie poprzedzające. Obrazy te tak są dokładne, iż przez mikroskop widziane, dają najdrobniejsze szczegóły, i jako materiał mogły być użyte do nowej karty księżyca, nad którą pracuje *British Association*. Szczególnie zajmujące są stereoskopowe widoki księżyca budowę badać, z pomocą których można całą jego budowę badać i mieć przed oczyma z wyrazistością nadzwyczajną. Warren de la Rue, który się foto-

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY,

przez

Mściława Kamińskiego.

(Dalszy ciąg).

Im więcej zbliżamy się do Słonima, tym kraj staje się piękniejszym i bardziej urozmaiconym. Wszakże niebrak tu piasków i błot, a i lasy mają wiele cech poleskich, jakkolwiek są nierównie mniejsze i weselsze od tych, które się już z tamtej strony Słonima spotykają. Człowiek jednak nie żyje tu w harmonii z naturą, na polu nie rozlega się wesóły śpiew rolnika, karczma nie grzmi muzyką i śmiechem, wieś pusta i głucha. Nietrudno jednak znaleźć tego przyczynę: drugi to już z kolei rok nieurodzaju, drugi rok kłeski okropnej, nietylko dla rolnika, ale i dla wszystkich, bo nieurodzaj zarówno wszystkie stany dotyka.

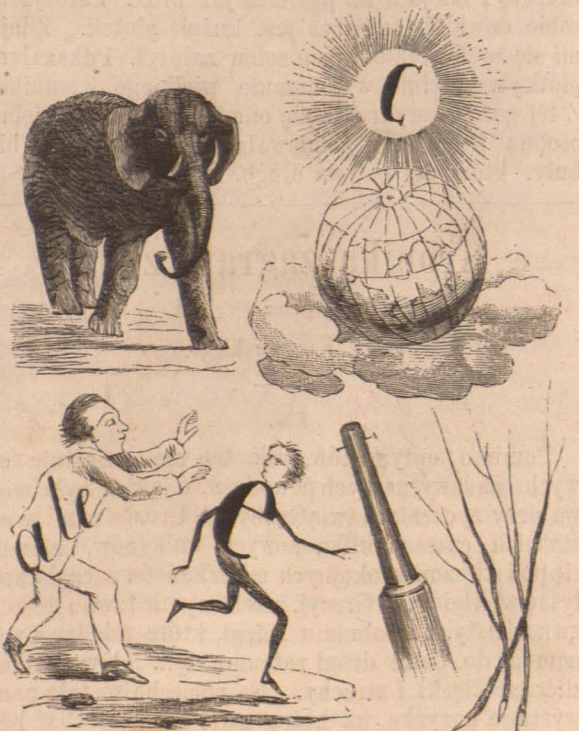
Ale otóż z po za mgły ranniej migają wieżycy świątyni słonimskich. Zdaje się że jużemy prawie na przedmieściu Słonima, słyszymy dźwięk dzwonów, możemy zliczyć wszystkie szyby w oknach i kominy na dachach, a przecież jedziemy, jedziemy i końca niema. W istocie gościniec wileński okrąża całe prawie miasto, biegnąc tuż koło niego, równoległe z wartką Szczarą, ku której wreszcie po dość wygodnym moście się zawraca, dążąc bez przerwy aż do środka miasta. Z obu stron grobli przepysne łąki; nie staje tylko na nich pięknych tyrolskich krów, by stworzyć cudny krajobraz Ruisdaela lub Claude-Lorrain'a. Mówiono mi w Słoniemiu, że kupiec tutejszy płaci za te łąki rządowi szesnaście tysięcy rubli srebrem rocznej arendy i wychodzi na tém dobrze.

Woznica nasz mija szumnie utytułowane hotele i zajazdy, nie zważa na natrętnych markierów co na wyścigi zapraszają nas do siebie i przejechawszy całe

niemał miasto, zajeżdża do karczmy, szumnie utytułowanej *Niżno-novogrodzkim* zajazdem. Tu zwykle zatrzymują się furmani i chociażby towar ich (t. j. pasażerowie) chciał gdzieindziej się zatrzymać, nic to nie pomoże: furman uda głuchego lub głupiego i postawi na swoim. A gdy mu czynisz po-

(Ob. dodatek).

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 389. Wymówka ulatuje z wiatrem, ale krzywdą dobodzie człowieka.

(Dodatek)



Na ulicy.

(Rozmowa podsłuchana).

- Jednak niema na świecie gry nad bezika!...
- Słowo honoru, pyszna gra!...
- Ciekawym czy na wystawie paryżkiej wynalazca bezika dostanie medal.
- Słowo daję... powinien dostać medal złoty, a autor *Poradnika bezika*... srebrny.

grafii astronomicznej wyłącznie poświęcił, zdjął także obrazy Saturna, Jowisza, Marsa i kilku gwiazd stałych. Zużytkował on nadto swój aparat w czasie zaćmienia słońca w Hiszpanii. Wprawdzie już w r. 1851 doguerytypowano zaćmienie w Królewcu, ale niedosyć dokładnie, żeby naukowo zużytkować się to dało.

Aby dać wyobrażenie o czułości chemicznych preparatów użytych przez Warrena, dość powiedzieć że z ich pomocą księżyc w pełni zdejmuje się w przeciągu mniej niż jednej sekundy. W czasie owego zaćmienia potrzeba było przewieźć dla fotografii trzydzieści kilka centnarów przyborów i narzędzi z niemałym trudem do Rivabellosa, ale też zdjęto czterdzieści różnych obrazów, a w dwóch, w czasie zupełnego zaćmienia dokonanych, najwyższe budziły zajęcie tak zwane protuberancje, *wyrosty słoneczne*, wyszły z dokładnością i wyrazistością nierównie większą, niż się daje gołym dostrzedz okiem.

W ostatnich latach heliograf Warrena coraz więcej był używanym; do 1864 r. odfotografowano nie mniej jak 631 grup plam słonecznych. Zdaje się że to zastosowanie jeszcze do wielu nowych ulepszeń jest przeznaczonem; a tak fotografia, która nieprawnie chciała zastępować sztukę, ma przed sobą daleko ważniejsze i lepiej usprawiedliwione zadanie, pierwszego służy umiejętności i jednego z najczulszych narzędzi do świadczeń.

Nie sądzę żeby się czytelnicy gniewać mieli, żeśmy ich aż na słońce i księżyc zaprowadzili, i to drogą którą oni chodzą do fotografa. Radzibyśmy jednak im to czémś żywszém wynagrodzić; ale zstępując na ziemię, znajdujemy się otoczeni taką mnogością mikroskopowych zwierzątek i grzybów, iż objawieniem ich istnienia boimy się do zbytku przerazić.

A jednak cóż z rzeczywistością począć? niepodobna jej nie uznać i przestać się nią zajmować.

Faktem jest niezaprzeczonem, że *les infiniment petits* zabierają się niezartem pozrzeć najprzód wszystko to czém człowiek żyje, a naostatku zapewne sa-

mego króla stworzenia. Niedojrzane grzybki i małe jak pyłek najdrobniejszy poczwarki, wciskające się wszędzie, przerażające sięją zniszczenie. I tak przyczyną cholery ma być niedostrzeżony grzybek, rosnący z nadzwyczajną szybkością i rozmnażający się tak piorunowo, iż cały organizm trawi i pożera. Odkryto teraz takiego znowu Phytopa (Phytopus vitis), który winną macię, udając maleńki pyłek białych, zjada do szczytu. Przez mikroskop poczwara ta, która nie ma przyrzędu zwykłego do oddychania i żyje wciągając powietrze właściwym sobie instrumentem, wygląda wcale straszno...

Braknie nam tylko do tych wszystkich kłesk, ażeby sławny z nieubłaganej żarłoczności swój *termit*, który z kawałkiem drzewa, jak się zdaje z San Domingo, do Rochefort przybył w r. 1797 i znaczne już szkody porobił w departamencie niższej Charenty, przewędrował dalej po Europie. Żadna biblioteka przed termitami się nie ostoł, gdyż papier tak dobrze jedzą, jak drzewo i wszystko co tylko ugryźć mogą. Kilka już księgozbiorów zawdzięcza im że się w pył obróciły. Żadne środki zapobiegające i niszczące dotąd przeciwko nim nie skutkowały. Jedna zima może potrafi im dać rady.

Świat zjedzony przez mikroskopowe grzybki i niedostrzeżone zwierzątka, przyznać potrzeba, dziwnieby człowieka i jego rozum poniżył. Sama walka z tą niewidzialną siłą pyłów i prochów ma w sobie coś upokarzającego. Ale bądź co bądź, z pomocą chemii z temi szkodnikami da sobie radę król stworzenia i powoli ich wytępi, jeśli nowe na ich miejsce nie urosną. Natura jest niewyczerpana na figle... Zmusza niemi i umysł do pracy, i rozum do nieustraszonego czuwania.

(Dokończenia nastąpi).

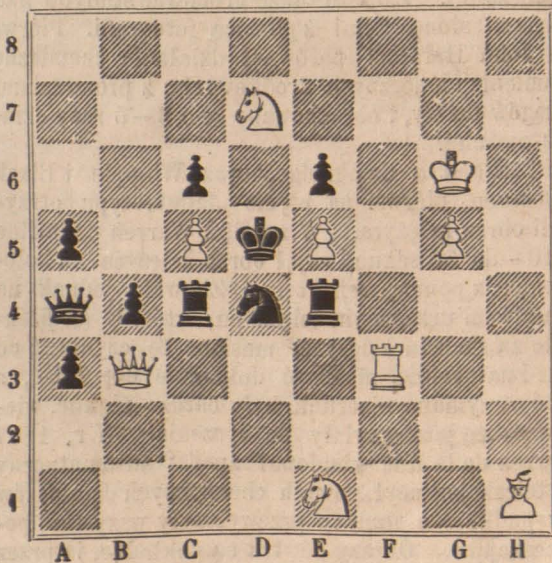
Szachy.

ZADANIE CCCXLVI.

(S. Winawer w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 345.

Białe.

Czarne.

- 1) H1—H5 . . . 1) G7—E7 białą (najlepiej).
- 2) A1—A4 białą † 2) B5—A4 białą.
- 3) E5—C6 †† i mat.

tém wymówki, on ściśnie ramionami i odpowie z najzimniejszą krwią:

— Ny, a czemu pan piérwój mnie tego nie mówił? Jaby zajechał, mnie wszystko jedno.

Zaledwieśmy się roztasowali w dość porządnym, jak na tutejsze zajazdy, pokoiku, aliści drzwi się otwierają i wsuwa się najprzód jedna Żydówka z jakimiś pudełkami i paczkami, potém druga z takimże przyborem, następnie trzecia, czwarta i t. d.

— Co to takiego?

— Z towarem, odpowiadają chórem. Może kupi jasnie pan *czemkolwiek*. U nas wszystko za bezcen, a towary *rarytne* prosto z Warszawy.

I tu następuje długa litania galanteryjnych towarów, wraz z szumno-brzmiąciami epitetami, które tak cię odurzają, takiego zawrotu głowy napędzają, że nic innego nie pozostaje, jak albo dać każdej z nich cokolwiek utargować, albo, odłożwszy nabok ceremonie, wyprosić je za drzwi. Wszelkie bowiem półśrodki na nic się zgoła nie przydadzą.

Oswobodziwszy się nareszcie od obłęzenia cór Izraela, poszedłem przyjrzyć się miastu. Jest ono dosyć czyste i porządnie brukowane. Niebrak tu domów murowanych, ba, fabryk nawet (z których jedna, sukienna, przed kilku laty zgorzała), a z licznych i dobrze zaopatrzonych kramów wnosić należy, że handel tutejszy dosyć jest ożywiony. Pośrodku miasta znajduje się obszerny budynek o kilkudziesięciu sklepach, tak galanteryjnych, jak bławatnych i kolonialnych; niedaleko zaś niego wznosi się piękna synagoga, jeszcze w 1642 roku wybudowana.

Za mostem, od wjazdu wileńskiego, na wzgórk, stoi wspaniała fara, pod wezwaniem św. Andrzeja najprzód z drzewa r. 1493, a następnie z muru wzniesiona. Oprócz tego w Słonimie są kościoły: bernardynów, bernardynek, benedyktynek, kanoników laterańskich, franciszkanek, dominikanów i jezuitów.

Starostwo słonimskie na początku panowania Stanisława Augusta dostało się Michałowi Kaźmirzowi Ogińskiemu, hetmanowi w. lit., który tu osiadł z całym swoim dworem. Wróciły się wtedy Słonimowi dawniejsze świetne czasy. W samym środku miasta stanął obszerny pałac hetmana, a w różnych częściach Słonima dźwignęły się, jakby za dotknięciem różeczki czarodziejskiej, wspaniałe zabudowania. Więc były tu: dom opery, dom mieszczący baletników, ujeżdżalnia, gmachy rzemieślników, fabryki i t. p., a wszystkie te domy otoczono ogrodami, w których nietylko pożytek, ale i przyjemność miano na celu.

Przedsiębiorczy jednak umysł hetmana na tém się nie ograniczył. Około 1777 r. założył tu drukarnię, w której drukowały się tak poetyczne utwory samego hetmana, jak i inne pomniejsze pisemka rozmaitej treści. Lecz największym dziełem tego zacnego obywatela był kanał, wykopany własnym jego kosztem pomiędzy Jasiołdą i Szczarą, płynący przez Słonim. Tym sposobem Niemen został połączony z Dnieprem, a bezpośrednim tego skutkiem był tak wielki wzrost handlu i przemysłu w Słonimie, że co rok kilkaset statków zbożem i innym towarem ładownych, prócz niezliczonej ilości traw drzewa, przypływa pod mury tego miasta, zasilając handel miejscowy.

Wspomnieliśmy już czytelnikom naszym o domu opery i drukarni Ogińskiego. Otóż przed nami leży odstępcającej powierzchowności, na bibulastym papierze koszlawo zadrukowana książeczka p. n.

„Opera: Kondycje stanów, grana na teatrum słonimskim, drukowana roku 1781 w Słonimie, karty nieliczb. in 16mo.“

O dziełku tém nie wspominają ani Bentkowski, ani jego dopełniacze, i istotnie jest ono niezmiernie rzadkiem. Rzadkość ta właśnie, a nie wewnętrzna wartość, bo téj wcale nie ma, skłania nas do przytoczenia w kilku słowach jego treści.

Jestto, jak się zdaje, słabe naśladowanie jakiegoś również słabego utworu francuzkiego, proza dyalogowana, gwałtem pod muzykę podciągnięta. Choć mówiący prawdę, *aurę ówczesnej literatury* tak przepełniały miazmata sentymentalizmu, że nie potrzeba było żadnego naśladownictwa *umysłnego*, aby stworzyć utwór podobny; dość było oddychać tém powietrzem, a myśli już same nastrajały się do ogólnego usposobienia.

Owóz w téj operze wszystko pachnie pudrowaną

sielskością. Główna myśl autora na tém zdaje się zależeć, żeby okazać że każdy stan może być szczęśliwym, byle tylko uczciwie spełniał swe obowiązki i nie przekraczał granic ręką przeznaczenia mu nakreślonych. Przeprowadzając tę myśl, autor do ubogiej kmieć chatki *Stacha* strwiał po kolei ludzi różnych stanów, kładąc im w usta chropowate dyalogi i każąc wyśpiewywać przy końcu każdej sceny nieszczęsnego rymu arye, które wielce przypominają sens moralny bajek Ezopa. Więc występują tu na scenę *księżę* udzielny, otoczony dwoma satelitami, *Konsyliarskim* i *Kurtyzańskim*; dalej *kupiec*, *bogacz*, *sluga*, *kapitan*, *szlachcic* *Bezambicki*, *Stach* gospodarz ze swoją rodziną i czeladzią. Wszystkie te osoby, wygadawszy się do woli w ciągu trzech aktów, zbierają się wreszcie w ostatniej scenie i, ku wielkiej radości czytelnika a zapewne i widzów, przepiewawszy każda oddzielnie czworowiersz o zaletach swojego stanu, kończą operę.

Po południu wyjechaliśmy ze Słonima. Co za cudne okolice! Niepodobna wybrać lepszego i piękniejszego miejsca do założenia grodu. Już to wyznać należy iż dawnymi czasy miano silnie rozwinięty zmysł estetyczny, skoro zważymy że wszystkie prawie starożytne osady ujęte są w ramy precyzyjnych krajobrazów. Nie same tylko względy utilitarne powodowały piérwyszych osadników; wiedzieli oni że duszy niepodobna zaspokoić chlebem powszednim, że potrzebuje ona innej karmi, której nie zastąpią żadne wygody i wygodki ziemskie.

Cała przestrzeń ósmiowiorstwa ze Słonima do Żyrowic, jest niby piękną sielanką przyrodzenia, zdolną i oko zająć, i troskę ukoić, i myśl uszlachetnić. Po prawej ręce piętrzą się łagodnie wcięte wzgórza, to umajone zieloną drzew kępą, to usiane rzadkimi krzakami, to wreszcie przybrane w różnobarwną szatę zbózi ogrodowizn. Z lewej strony rozłożyła się pomiędzy dwoma wzgórzami obszerna dolina, zieleniejąca bujnym pokosem i przerznięta Szczarą, której niebieskie zwierciadło mignie kiedy niekiedy z po za krzaków i znowu się schowa. Ale nie nie zrówna widokowi jaki się wprost przed nami odkrywa. W dolinie, na tle rozległej perspektywy, w wieńcu drzew i ogrodów, ukazują się białe jak alabaster wieżycy i mury: to Żyrowice.

Nie będziemy opisywać dziejów tego miasteczka, a właściwie mówiąc jego świątyni; wspomniemy tylko mimochodem, że miasteczko to, a raczej wieś cerkiewna, czysto i schludnie wygląda i w ogóle nie psuje wrażenia jakiegoś zbliżając się do niego doznali.

Za Żyrowicą skręciliśmy z gościńca, którymeśmy dotychczas jechali, i bryka nasza potoczyła się prywatną drogą, mającą nas doprowadzić aż do Łohiszyna, miasteczka o cztery mile odległego od Pińska. Tym sposobem trzynastcie mil mieliśmy przed sobą prawdziwie poleskiej drogi. Straszno pomyśleć! A tu jak na dobitkę niebo się chmurzy i *kapuszniczkiem* poczyna nas częstować. Oj, myślę sobie, poznamy Polesie w całej okazałości i ze wszystkimi akcesoryami, to jest z dęszcem i błotem. Aby się tylko gdzie nie utopić! I z rezygnacją wciśnąłem się w głąb budy.

Piękny jednak lasek, zwany *Wiknia*, leżący tuż za Żyrowicami, zniewolił mnie wychylić głowę, a następnie ładny widoczek znowu zajął mą ciekawość; lecz buda potoczyła się, dęszczyk począł się wzmaczać, i przed nami rozwijały się powoli prawdziwie poleskie krajobrazy.

Korab nasz, wahając się z boku na bok, sunie po głębokich nasypach piasku, tu i owdzie porośniętych rzadką trawą lub rzadszym jeszcze zbożem. Przed nami opodal rysuje się na chmurnym niebie czarny, ponury las, groźnie zdający się poglądać na śmiałków, przybywających zakłócić jego spokojność. Nasz woźnica obraca się z kozła i mówi:

— Trzy mile pojedziemy tym lasem.

Trzy mile, to nie bagatelka na poleską drogę, a nadewszystko na drogę leśną, co krok usianą to pniami, to nigdy nie wysychającą kałużą. A i to jeszcze dodać należy, że na całej téj przestrzeni jedna jedyna jest tylko karczma, i to taka, że już lepij w lesie pod gołym niebem popasać.

Lasy poleskie mają zupełnie odrębną fizyognomię, są ponure jak mieszkańcy tutejsi, ale zarazem i poetyczne jak oni. Te jednostajnej barwy i kształtu pnie sosen, uwieńczonych również jednostajnymi koronami, usposabiają umysł do tęsknoty i melan-

choli. Porównałbym je do ciężkich aleksandrynow klasycznej poezji: nudzą, ale niepodobna im wdzięku odmówić. Lecz niech-no się choć najlichsza lepianka z po za drzew wychyli, wnet umysł się rozwesela i wyobraza sobie że jest zajęty czytaniem pięknego poematu romantycznego. Bo istotnie, najmniejszy objaw życia w tak głuchej pustyni więcej nas zajmuje, zaciekawia, niż całe dramata na wielkim świecie, wśród gwaru i ruchu.

Ale oto wspomniana wyżej karczma. Stała ona na małej polanie, ze wszystkich stron otoczonej puszcza. Dach najeżony słomą, porośnięty mchem i chwastami, tu zapadły, tam przykryty niedbale dranicami, owdzie wyglądający na świat czarnymi otworami, niby spruchniała czaszka trupia. Nad nim sterczy obszarpany komin, co chwila grożący upadkiem. Ściany koszlawe, wklęsłe, nierówne, rzekłbyś z trudnością utrzymują pozaklejane papierem lub zabite deskami okna. Przez zawieszoną na jednej zawiasie drzwi, wchodzimy do środka; sień jak i izba ogólna zupełnie puste, a w jednym końcu téj ostatniej kupa gruzów rozwalonego pieca. Dopiero w ostatniej gospodarskiej izbie mieści się szynkwas, wraz z całą ruchomością pana arendarza. Pokoje niegdyś gościnne dziś zasypane zbożem, założone sianem lub słomą.

Naturalnie że w takiej karczmie zgłodniały podróżny nic innego nie dostanie, prócz kieliszka brudnej, po połowie zmieszanej z wodą wódki i kilku cebul. Śmietana i mleko są tu już artykułem zbyt, a o mięsie lub rybce dla podróżnych nikt nigdy nie słyszał.

*

*

Wioski poleskie są wszystkie prawie jednym kształtem zbudowane, a właściwie mówiąc sklęczone, bo trudno do jakiegobądź rodzaju budowli zaliczyć przysiadłe do ziemi jak grzyby lepianki, zagrzeżłe w błocie i tak małemi okienkami oświetlone, że w najjaśniejsze dni głęboki wewnątrz mrok panuje. Ani spotkasz tu drzewa owocowego i jedynej różnaitości stanowią w jesieni pękate dynie, suszące się całemi setkami na dachach. Nie wybiega tu w górę wesoły zóraw (od studni), jak w wioskach litewskich, nie przerywa szarego chat koloru ogródek, nie rozweselają nawet oka zalotne málwy i zielona ruta, którą każda dziewczyna litewska, pod karą utraty dobrej opinii, przed swemi oknami pielęgnować musi. W ogóle zaniedbanie widoczne wszędzie i zawsze. Dość spojrzeć na drogę idącą środkiem wsi: okrywa ją gruba warstwa grząskiego, cuchnącego błota, które w największe nawet upały nie wysycha, przyczyniając się swemi wyziewami i ciągle utrzymwaną wilgocią do rozmaitych chorób, pomiędzy którymi kołtun piérwszą gra rolę. Przykro patrzeć na tych biednych ludzi, obszarpanych, wynędzniałych, brnących po kolana przez cały boży rok w błocie, a nie pojmujących tego, że dość byłoby przekopać z obu stron drogi rowy, aby się od téj zarazy uwolnić. Ale lud tutejszy woli chorować, cierpieć największą nędzę, mrzeć, byle tylko nie pracować, i leżąc na piecu powtarza ulubione swoje przysłowie: „za lesom, jak za dobrym panom!“

Ale lasy się kończą i wjeżdżamy na długą, miłą prawie groblę, otoczoną z obu stron niezmiernym obszarem błot porośniętych gęstą trawą, której kosa nigdy nie tknęła. Biada śmiałkowi, któryby się odważył wstąpić na tę niby łakę! Raz wpadłszy w bezdenną grzęzawicę, nie potrafi się z niej własnymi siłami wydobyć, a wołać pomocy byłoby tu jedno i to samo, co szukać człowieka na falach oceanu.

Patrząc na tę bezbrzeżną równinę, pod której zieloną powłoką ukrywają się niewyczerpane źródła wody, śmiało możemy przyjąć zdanie owych uczonych, którzy twierdzą że Polesie było niegdyś łożyskiem morza, i mimowolnie znowu skłaniamy się do gminnej tradycyi, przypuszczając że te trzęsawiska ukrywają w głębi całe jezioro, komunikujące się z Czarnym morzem.

Jakkolwiekby, grobla tak była trzęską, że wszyscyśmy wysiąść musieli, nie zważając na błoto i dęszcz, ani na chwilę nieustający. Szedłem o kilka kroków przed bryką, a do mnie przyłączył się zazwyczaj małomówny Żyd piński, który nie wiem dlaczego obudzał we mnie jakieś zajęcie. Był to

prostak w całym znaczeniu tego wyrazu; ale po bliższym poznaniu przekonałem się, że częste ociężałość się o chrześcian i życie zbliżone do natury (był bowiem rybakiem i dozorcą statków idących z towarami do Kowna), złagodziły w nim fanatyczne uprzedzenia, nadając mu charakter szczerzy i że tak powiem swojski. Poznał on podczas długich podróży wodnych język, podania i przesady poleskich flisów i lubił czasem z tém się popisywać.

— Czy wie pan, odezwał się do mnie, ukazując na szerokie rowy po obu stronach grobli, *naszy* Żydki złowili tu przed kilku laty bobra i wzięli za niego w Pińsku sto pięćdziesiąt rubli.

— Doprawdy? odrzekłem uśmiechając się, a to pójdziemy brzegiem rowu, może i nas to szczęście spotka.

— Ale niech pan idzie ostrożnie, bo się tu można spotkać z gadziną lub węzłem jadowitym.

— A wiem o tém, bom przed kilku laty sam o mało nie nastąpił na długą, czarną gadzinę. Działo się to nawet, jeżeli się nie mylę, właśnie w tém miejscu gdzie się teraz znajdujemy. Ale na Polesiu takie spotkanie nie nowina.

— Oj, czego tu niema! Ot, kiedy słońce świeci, to tu w tych rowach mnóstwo zobaczyć można *wijunów*.

— Jakto, więc one tak mało wody potrzebują?

— Mało wody? Co pan myśli, tu przepaść. Tu są takie kanały podziemne, że i wół przepłynie. A zresztą wijuny nie potrzebują głębokich rzek i jezior. Pan jadł wijuna kiedy?

— Nie, nie jadłem. A asan?

— Nam religia nie pozwala. Bo to widzi pan, wijun jak waż...

— Wiem, wiem. Stary testament zabrania spożywać wszelkie płazy i gady i to co na ich podobieństwo stworzone.

— Ny, choć nie ja jadłem, ale widziałem jak ludzie jedli i powiadali *co* dobre.

— W tych przydrożnych krzakach, rzekłem ukazując na łożę, gnieźdzą się kuropatwy. Przed kilku laty, przejeżdżając tędy na wiosnę, mnóstwo ich widziałem.

— A to dlaczego?

— Ny, zastrzelić nie sztuka, ale jak dostać. Tu noga ludzka nigdy nie postąpiła. Jak pan widzi te błota (a ciągną się one przynajmniej na siedem mil wzdłuż), to tu taka trzęsawica, że gdziekolwiekby kto stąpił, toby jak kamień wpadł *wskroś-ziemię*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pani Natalii z Przyremblów i Józefowi STUMMEROM,

w dowód poważania i przyjaźni,
AUTOR.

CICHA WODA BRZEGI RWIE,

Przysłowie dramatyczne w jednym akcie wiérsem,

przez

JANA CHECIŃSKIEGO.

OSOBY:

Roch, profesor.
Dorota, jego żona.
Ludwika, ich córka.
Wiktor.
Gerwazy.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Skromny salonik. W głębi drzwi główne. Z prawej i lewej drzwi prowadzące do reszty mieszkania. Po lewej okno z białymi firankami. Z prawej kanapa bliżej publiczności, przed kanapą stół na dywanie; tu i owdzie krzesła; po obu stronach środkowych drzwi stoliki, na jednym z nich zegar, na drugim wazonik z kwiatami. Meble niebardzo bogate.

Scena I.

ROCH, DOROTA (ubrana jak na wesele).

ROCH (w surducie wygodnym, jak do pracy, cokolwiek upada na jedną nogę. Za podniesieniem zasłony, postępuje zwolna za Dorotą, jakby prowadząc dalej rozpoczętą poprzednio rozmowę. Mówi łagodnie).

Dziś przepraszam cię Doniu.

DOROTA (niecierpliwie).

Ależ moja rybko...

ROCH.

Bo jakoś to zamęćcie splećcie tak szybko, że... przepraszam cię Doniu... że...

DOROTA.

Że?

ROCH.

Że daremnie

Chcę pojąć, jak się mogło obejść w tém bezemnie?

DOROTA.

Jak? przewybornyś rybko!

ROCH (lekkko urażony).

Wiedzieć nie zaszkodzi.

DOROTA.

Tak, jak się tu bez ciebie we wszystkim obchodzi, Jak było przez lat tyle, jak i nadal będzie.

ROCH.

Lecz... przepraszam cię Doniu, w takim ważnym [względnie...

DOROTA (żywiój).

W ważnym, nieważnym, dotąd wiedziałeś kochanie, Co porabiali twoi Grecy i Rzymianie, Kto się wdrapał na Alpy, tam... przy Salaminie, A tu w domu, ja wszystkim rządziłam jedynie I było dobrze.

ROCH.

Prawda...

DOROTA.

Więc i dziś domowe

Sprawy niech cię nie troszcza; ty sobie łam głowę, Jak tam Cyrus postrzelił Achillesa w pięty, Jak Derjusz w Termopile wprowadził okręty, Siedz sobie, jak siedziałeś, w tych szpargałów szafie, A o Ninie ja sama troszczyć się potrafię.

ROCH.

Lecz... przepraszam cię Doniu, jestem ojcem Nini.

DOROTA.

To cię odpowiedzialnym za jój los nie czyni; Ludwina jest dziewczyną.

ROCH.

Więc już dla mnie obca?

DOROTA.

Nie, ale co innego gdybyś był miał chłopca.

ROCH.

Cóż?... Pan Bóg dał nam córkę...

DOROTA.

Jedyną, nic więcej.

ROCH.

Tak... przepraszam cię Doniu, chciałem najgoręcej Mić syna...

DOROTA.

Któż ci bronił? ale nie masz syna, A nad córką opieka wyłącznie matczyna.

ROCH.

Jednak...

DOROTA.

Tylko nie marudź, mój kochany Roniu!

ROCH.

Dobrze, lecz pozwól słówko... przepraszam cię Doniu, Jedno słówko...

DOROTA.

No gadaj, gadaj już kochanie, Bo widzę że dziś chyba wzięłeś na gadanie.

ROCH (łagodnie).

Otóż moja Dosiuniu, powiedziaławszy szczerze, Żle kiedy się małżeństwo z sobą nie doberze, Gdy jedno wzlata duszą wyżej ponad drugie...

DOROTA (przerywając).

Aj! czuję że to będzie ci nudne i długie!

ROCH.

Cóż, kiedy mi przerywasz...

DOROTA.

Bo czyż dzisiaj pora?

ROCH.

Lepiej późno....

DOROTA (coraz głośniej).

Niż wcale; odwieczna perora.

ROCH (delikatnie).

Tylko nie krzycz.

DOROTA.

Nareszcie, co tu źle dobrane?

ROCH (cokolwiek niecierpliwiej).

Ależ pozwól, niechże się do słówka dostanę!

DOROTA.

Co się tobie dziś stało?!

ROCH (prosząc).

Tylko nie tak głośno, Bo... przepraszam cię Doniu, tą mową donośną Głuszysz mnie, głos ucieka, w głowie szumi, strzyka, A chcąc przegadać, nie mam drugiego języka, Bo jednym...

DOROTA (prawie z krzykiem).

No, no, gadaj, będę już nieczuła, Byles się raz wygadał, przenudny gaduło!

ROCH (z ciężkim westchnieniem).

Ah! przepraszam cię Doniu....

DOROTA.

Przepraszasz sto razy!

Cóż więc?

ROCH.

Więc mi się zdaje, że ten pan Gerwazy Nie da Nini przyszłości, jakiejby rodzice Pragnęli.

DOROTA.

Jakto nie da? ma dwie kamienice!

ROCH.

Czyż to dosyć?

DOROTA.

Tys rybko nie miał żadnej przecie.

ROCH.

Czyż tylko sam dostatek jest szczęściem na świecie? Czyż on wszystkie potrzeby życia zaspokoi?

DOROTA.

A cóż? co? może Grecy i Rzymianie twoi, Może wielka uczoność, filozofia, księgi?

ROCH.

Ależ nie o to idzie.

DOROTA.

Bo w tém zysk nietęgi.

ROCH.

Ja tutaj niedobrane widzę charaktery. Pan Gerwazy, to człowiek wcale innej sfery...

DOROTA.

Nie twojej, pewno.

ROCH.

Ninia, o ile zważałem,

Wyższa duchem; czyż człowiek żyje tylko ciałem? Trzeba coś i dla ducha...

DOROTA (niecierpliwie).

Roniu, nie pleć bredni! Ninia mieć będzie za nim byt i chleb powszedni, Lepszy niż ja za tobą, mój panie uczony, Co ci nań często brakło dla siebie i żony. Co mi stąd, że tam mądrość jakiegoś Wirgila Swoją stęchłą bibułą ducha ci posila, Gdy przy najszybszym duchu, o zwyczajnej porze Żołądek bez obiadu obejść się nie może; Gdy lat tyle wertując mądrych śmieci pudło, Choć utuczyłeś ducha, ciało tak ci schudło, Że ani pojąć zdoła mój rozum niewieści, Jak się twój duch opasły w takim śledziu mieści.

ROCH (postępuje krok naprzód, jakby chciał coś energiczniejszego powiedzieć, lecz po szybkim zastanowieniu, machnął ręką i mówi).

Eh!

(zwraca się do Doroty z poprzednią cierpliwością)

Ależ pan Gerwazy....

DOROTA (z mocą).

Codzień obiad kupi.

ROCH.

Lecz, przepraszam cię Doniu, on fatalnie głupi. DOROTA (j. w.)

Głupi? głupi? że greckich baśni nie łakomy, Głupi, że jeszcze młody, a już ma dwa domy? Nie rybko; to ten głupi, co przy swym rozumie Nawet na starość zdobyć spoczynku nie umie, Co gdy nie schnie nad pracą, mimo uczoności Pół tygodnia nic nie jé, a drugie pół pości.

ROCH.

Aj! znów krzyczysz!

DOROTA.

Nakoniec, dzisiaj ślub i kwita.

Przeprosze Świętoniusza, połóż spać Tacyta, A ubierz się; nie teraz do namysłów pora. Wiem ja o co ci idzie, wiem, wiem, o Wiktora, O twego kuzyneczka, o tego mądralę, Co największy miał rozum że wyjechał.

ROCH.

Ale...

DOROTA.

To też filozof z głową pełną... kabzą luźną...

ROCH.

Ale wróci.

DOROTA.

I owszem, szkoda że zapóźno,
Że jego urojeniom dzisiaj tamę kładę.

ROCH.

Wyjechał, bo ma dostać korzystną posadę.

DOROTA.

Ehę! taką jak twoja, co w niedługim czasie
Przemądrego w nim ducha na słoninę spasio,
A z reszty zrobi portret mego pana Rocha.

ROCH.

Jednak mnie się zdawało że go Ninia kocha.

DOROTA.

Co? Ninia? jego? za co? aj! w głowie się kręcił

ROCH.

I że znów niepodobna, mimo serca chęci,
Zmuszać ją...

DOROTA.

Roni przestań! tego już zawiele!
Cóż to, mój tłusty duchu, myślisz że ja ciebie?
Że gdy dziecięciu przyszłość zabezpieczyć pora,
Wydam je za takiego jak ty profesora,
Co przy chudej kalecie myśląc o żoneczce,
Możeby chciał z nią mieszkać jak Djogenes w beczce?
Nie rybko, nie kochanku, nie mędrców ozdobo!
Dosyć się ja kłopotów nałykałam z tobą,
Który, gdyby nas, Bogu Najwyższemu chwala,
Loterya w ciężkiej biędzie nie podratowała,
Wielbiąc twych filozofów, byłbyś, tak jak oni,
Jadł zupę kromką chleba, a pił wodę z dłoni.

ROCH.

Bądź co bądź...

DOROTA (przerywając).

Koniec końców, gdy ci to tak w głowie,

Niechaj....

(biegnie do drzwi na lewo i woła)

Ludwiniu! Niniu!

(wracając)

Niechaj sama powie,

Czy się swojej przyszłości tak dalece lęka,

Czy z przymusu...

(do wchodzącej Ludwiki żywo)

Ostrożnie we drzwiach, bo sukienka!

Scena 2.

ROCH, DOROTA, LUDWIKA.

(Ludwika wchodzi z lewej, ubrana do ślubu. Dorota biegnie ku niej i poprawia niektóre szczegóły ubioru).

DOROTA (nieco głębiej przy Ludwice).

Choć prawda, to jedwabne, niełatwo się zgniecie;
No, nieźle, wcale nieźle... Pójdźże, moje dziecię.

ROCH (do zbliżającej się ku niemu Doroty).

Widocznie posmutniała.

DOROTA.

Nic dziwnego zgoła;

Któż panna w dzień ślubu będzie ci wesoła?

Każda co do dobrego tonu prawo rości,

Musi się trochę krzywić dla przyzwoitości.

(do Ludwiki)

Pójdźże!

(Ludwika zbliża się cokolwiek)

Ojciec, choć biorąc pod rachunek ścisły,

Na nie się nie przydadzą niewczesne namysły,

Dzisiaj, gdy już nie twoja prawie — twoja ręka,

Nie wiem z jakiej przyczyny i o co się lęka.

LUDWIKA (zdziwiona, postępując bliżej)

Ojciec?

ROCH.

Tak.

DOROTA (żywo).

Już ci nie ja, bo ja, dziecię moje,

O twoje przyszłe dobro wcale się nie boję.

LUDWIKA.

Więc ojciec?

DOROTA (niecierpliwie).

A no ojciec!

ROCH (z goryczą).

Prawda, to ją dziwi

Że ja...

DOROTA (przerywając).

Że gdy jest pewną iż będą szczęśliwi,

Ty, jakbyś chciał się szczęściu swej córki sprzeciwić,

Marudzisz; to ją dziwi, jakże nie ma dziwić?

ROCH.

Lecz, przepraszam cię Doniu...

DOROTA.

Przepraszaj, masz za co;

Cóż to? czy pan Gerwazy jest jakieś ladaco?

(do Ludwiki)

Powiedz sama?

LUDWIKA (spokojnie).

Broń Boże!

DOROTA.

Znany z uczciwości.

LUDWIKA (z lekką ironią).

I z rozumu.

ROCH (mocno zdziwiony).

Co?!

DOROTA.

Każdy ojciec pozazdrości

Takiego zięcia.

ROCH (d. s.)

Proszę!...

(do Ludwiki)

Zatém pan Gerwazy

Pod żadnym względem w tobie nie budzi odrazy?

DOROTA (uprzedzając Ludwikę spojrzeniem).

Powiedz!

LUDWIKA.

Nie, ojcz.

DOROTA (do Rocha).

Widzisz! bo i w jakim względzie

Ma budzić? Ninia przy nim jakby w raju będzie.

LUDWIKA (zachowując ciągle odcień ironii).

Pewno.

DOROTA.

On w filozofii może nieświadomy,

Lecz potrafi zapewnić szczęście.

LUDWIKA.

Ma dwa domy.

ROCH (coraz bardziej zdziwiony).

He?

DOROTA.

Tak, tak! i dotrzyma pocziwych przyrzeczeń,

Niczego im nie zbraknie, będzie chleb!

LUDWIKA (j. w. nieco spokojniej).

I pieczeń.

ROCH (rozezarowując się).

Także...

DOROTA.

A cóżes myślał, przecież go stać na to!

Nie troszcz się, nasza Ninia będzie z nim...

LUDWIKA.

Bogatą.

DOROTA.

Naturalnie! cóż więcej broni od goryczy?

To grunt szczęścia!

LUDWIKA (nieśmiało).

A może?...

DOROTA (żywo).

Co?

LUDWIKA (j. w.)

Ojciec nie życzy...

DOROTA.

Nie życzy sobie szczęścia? cóż znowu kochanie!

On tylko... ot poprostu...

ROCH (z gorzkim uśmiechem).

Wziął dziś na gdęranie.

DOROTA (nieco łagodniej).

Tak, trochę... i przypuszczał że ciebie kto zmusza.

Uspokójże go...

LUDWIKA.

Mnie? nikt.

DOROTA (do Rocha).

Widzisz!

(całując córkę w czoło)

Droga dusza!

Ma rozum, ma! z przyszłością umie być ostrożna...

(stanowczo)

Nareszcie, co zrobione, odrobić nie można;

Wszystko przygotowane jak lepiej nie sposób,

Książ, świadkowie...

LUDWIKA (wracając do ironii).

Kolacya.

DOROTA.

Na dwadzieścia osób!

ROCH (do reszty rozezarowany).

A!...

DOROTA.

Pan młody wnet przyjdzie.

LUDWIKA.

W nowiuteńkim fraku.

DOROTA (do męża).

Cóż? może niedobrani?

ROCH.

Jakby w korcu maku!

DOROTA (prawie nakazująco).

Dasz więc krzyżyk na drogę?...

ROCH.

Dam, dam sercem całym.

Dam!... przepraszam cię Doniu... widzisz... ja my-

[ślałem...]

I trudno mi zrozumieć...

DOROTA (zadowolona).

Dajże pokój sobie!

Myśl co ci się podoba, a ja wiem co robie.

A teraz, bardzo pięknie proszę jegomości,

Choć nie będziesz w kościele, ubrać się do gości;

Wiedzą że nie wychodzisz, boś chory na nogę,

Ale...

ROCH (smutnie do siebie).

Tak, lepiej dla mnie, że pozostać mogę.

DOROTA.

Idźże, idź.

LUDWIKA (n. s. spoglądając na ojca).

Co to znaczy?

DOROTA (do męża).

Cóż stoisz daremnie?

ROCH (jakby ockniony)

Nie... przepraszam cię Doniu...

(n. s. odchodząc).

A to głupiec zemnie!

(odchodzi na prawo).

Scena 3.

DOROTA, LUDWIKA.

DOROTA (poprawiając fałdy u sukni córki).

Czekaj-no, tu zamało, a tu znów zawiele.

LUDWIKA (sucho).

Dziękuję.

DOROTA (skończywszy).

Tak... dziś dla mnie prawdziwe wesele,

Bo cię chronię, jak każda z doświadczonych matek,

Od niedostatku; nie wiesz co to niedostatek!...

Niedostatek, to wymysł djabelnego plemienia,

Co często najuczciwszych w najgorszych przemienia.

Widzisz, — i Wiktor mędrzy niż mi się wydawał,

I on nie chce kawałka chleba, tylko kawał.

Póki nie miał posady, wdzięczył ci się czule,

A dziś i on przemyśla...

LUDWIKA (przerywając, spokojnie).

O pełnej szkatule.

DOROTA.

Tak, i jemu z ubogą żenić się nie pilno;

Toż pani Błażejowa ma wieść nieomylną,

Że do obywatelskiej zaleca się córki,

Gdzie mu zapachniał folwark i baranie skórki.

LUDWIKA.

Ma rozum.

DOROTA.

Pewno że ma, postępuje święcie,

Więc i ty już się nie krzyw, jakbyś szła na ścięcie;

Głupstwa miną, a życie pójdzie w swoją kolęj,

Do pana Gerwazego nawykniesz powoli.

To pocziwe człeczysko i nie stary przecie,

On ci da byt, a z bytem poważanie w świecie;

A w książkowe rozumy że nie najbogatszy,

Nie troszcz się, tego zaraz nikt w nim nie dopatrzy.

Bięda wyłazi na wierzch, a rozum ukryty;

Wsadź barana w karęte, owiń w aksamity,

A zobaczysz, kochanie, jak się z każdej strony

Zwrócą nań wdzięczne oczki, posypią ukłony!

Gdy tymczasem, niech mądrość wyjdzie na świat

[bosa,

Nikt o nią nie potrafi, lub patrząc z ukosa,

Nie dojrzy mózgu, co ma stanowić jej chwałę,

Ale pewno dostrzeże podeszwy niecałe!

LUDWIKA.

Wierzę.

DOROTA.

Tak, tak Niniusiu, w świecie kolęj taka!

Lecz my gwarzym, a ojciec pewno nie wdział fraka, Muszę iść...

(ogląda się po pokoju i mówi dalej, poprawiając niektóre szczegóły umeblowania).

Bo jak w książkę wlułi się nieznacznie, Jak po rzymskich teremach podróżować zacnie, Tak mu głowę zagwoździ filozofia grecka, Że zapomni o ślubie rodzzonego dziecka.

(wychodzi na prawo).

Scena 4.

LUDWIKA (sama).

O ślubie... więc dziś ślub mój... dzisiaj, podług matki, Otwiera mi podwoje świetny los, dostatki, Dobry byt, zatem szczęście! czegoż więcej trzeba? Szczęście, to wyraz obcy, pożyczony z nieba, Który na ziemski język tak mi przełożono: „Będiesz przez całe życie dobrze najedzoną, „Nie zbraknie ci trzewików, sukni, kapelusza, „Nawet... możesz mieć powóz!“ — A serce? a du- A uroczce marzenia, sny przyszłości złote, [sza? Spromienione miłością, spowite w tęsknotę, To dzieciństwa, co w dobrym otulone bycie, Powinny w nim jak w puchu spać przez całe życie I wrócić tam... z kąd przyszły; gdzie im wzgardy nie Sztandar ziemskich rozkoszy: tablica i kreda! [da Lecz co myśleć, tu głowa nie nie wymozoli, Wszak jest w życzeniach matki część i mojej woli.

(z ironią)

Pan Wiktor wieczną miłość z niebiańskich płomieni Pierwszy przeniósł zwycięzko z serca do kieszeni; Kochałam go... dziś gardzę. I może to jedno Pocięszy mnie w nieszczęściu, że nie będę biedną, Że z ubytkiem ciężaru, trochę pomyślności, Okupu lez mych... w domu rodziców zagości.

Scena 5.

LUDWIKA, WIKTOR.

WIKTOR (wbiega żywo, wymawiając jeszcze we drzwiach pierwsze słowa).

Ależ to niepodobna!

LUDWIKA.

Pan Wiktor!?

WIKTOR (niedowierzając swym oczom).

Ach! pani...

LUDWIKA (tłumiąc wzruszenie).

Pan tutaj?...

WIKTOR.

Biała suknia, biały welon na niej, Białe kwiaty!...

LUDWIKA (pokonawszy wrażenie).

Cóż za dziw?

WIKTOR.

Co się tutaj stało?

LUDWIKA.

Nic; wszak zwyczaj do ślubu ubierać się biało.

WIKTOR.

Do ślubu?

LUDWIKA.

A do ślubu.

WIKTOR.

Do ślubu?!

LUDWIKA.

Tak panie.

WIKTOR.

Więc pani idziesz za mąż?

LUDWIKA.

Zabawne pytanie.

WIKTOR.

Za mąż... jam nie chciał wierzyć... nie, jam dotąd [we śnie,

To coś niepojętego... to nazbyt boleśnie...

Kto? pani idziesz za mąż?

LUDWIKA (z przyciskiem).

Przecież się nie żenię.

WIKTOR.

A nasza miłość?

LUDWIKA (tłumiąc ból).

Miłość?... co to za stworzenie?

WIKTOR.

A twoje serce?

LUDWIKA.

Serce?... zlepek krwi i ciała.

WIKTOR.

A przysięgi?

LUDWIKA (żywić, nie mogąc ukryć uczucia).

Przysięgi?!... jam nie przysięgała!

WIKTOR (z ogniem).

Nie przysięgałaś pani!... tak... prawda... w istocie! Lecz jakichże zapewnień, jakich przysięg krocie Zdolne zastąpić jedno spojrzenie z płomienia, Co przenika do duszy, co świat w niebo zmienia, Co stokroć potężniejsze niż rozgłosne słowo, Stokroć więcej wypowiedzi milczenia wymową! Nie przysięgałaś pani, słówkaś nie wyrzekła!... Lecz nigdyż się skroń twoja chmurą nie powlekła, Nigdy wyraz niechęci nie zabrzmiał raniąco, Kiedym do ust przyciskał twoją rękę drżącą, Gdym szeptał czią, miłością słowa przepelnione, Śniąc przyszłość, w której szczęścia widziałem ko-

[ronę!?

Nie przysięgałaś!... nie więc do siebie nie mamy; A jeśliś sercu memu nie rzuciła tamy, Jeśliś mu całą zawrzęć dozwoliła siłą, To było tylko żartem... to igraszką było! Nieprawdaż? to dzieciństwo, które zimna chwila Rozwagi nad przyszłością kruszy, obezsila. Tak, pani słusznie matki podzielałaś trwogę, Bo i jakąż ja przyszłość zabezpieczyć mogę, Co ja posiadam? miłość i nauki trochę. Stałość, wiarę w Opatrzność... to marzenia płochę, To są kruche podstawy do gmachów ze słomy... Tymczasem pan Gerwazy... posiada dwa domy!

LUDWIKA (która słuchała z zadziwieniem, starając się znowu powrócić do spokojności).

Więsz pan, panie Wiktorze, można wielbić pana; Wymowa potoczysta, gładkość niesłychana! Tylko trudno mi pojąć, jakim prawem spada Na mnie ta pełna szumnych wyrzutów tyrada? Jakto? więc pan, szukając rogu obfitości, Drugim go samolubnie usuwa, zazdrości? Sam czarę smacznych rzeczy wyczerpując do dna, Chcesz abym ja, jak Tantal, była wiecznie głodna? Sam, z powozu panując nad pokorną rzeszą, Pragniesz abym ja zawsze i wszędzie szła pieszo? Nie panie, niech pan słuszniej tę sprawę ocenia, My sobie mieć nie możemy nic do wyrzucenia. Pan cieszyć się, ja panu dzięki składać mogę, Bom skorzystała, gdyś mi dobrą wskazał drogę... Nawet żem przeszła mistrza z dumą się poszczycę, Bo pan bierzesz.... cóż? folwark... ja dwie kamienice!

WIKTOR.

Folwark?

LUDWIKA (zawsze z ironią).

No, i gotówkę.

WIKTOR.

Gotówkę?

LUDWIKA.

I żonę.

WIKTOR.

Żonę?!

LUDWIKA.

A tak, niestety! złe nieuniknione!

Wszak i ja, gdy złudzenia rozsądek zwycięża, W dodatku do dwóch domów, muszę przyjąć męża.

WIKTOR.

Co to znaczy? to wszystko dla mnie zbyt zawiłem! Więc ja się niby żenię, lub się ożeniłem? Lecz gdzie, z kim, z kąd?

LUDWIKA.

Ha! tę już zawiłość gotowa Najdokładniej rozwikłać pani Błażejowa...

WIKTOR.

Kto? ona?... ah!... zgaduję... ten model dewotek, Ta fabrykantka intryg, kłótni, zgód i plotek, Ten latający kantor małżeństw i rozwodów! No!... teraz jestem w domu, wiem z jakich powo-

[dów...

Teraz mi się zupełnie rzecz cała wyjaśnia. I pani nie przeczułaś, że to prosta baśnia?

LUDWIKA.

Baśnia?

WIKTOR.

A cóż innego? z czyjéże poręki Wszedł tutaj pan Gerwazy? komu składać dzięki,

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.

Że ten kolos głupoty, który słyszy wszędzie W jakim z jego domami stawiają go rzedzie, Postanowił na przekór, gdy się zdarza pora, Zaślubić uczonego córkę profesora?

Któż mu wbił w mózgowicę, że szyderstwa szpony Przestaną ścigać męża, by nie drasnąć żony? Kto? pani Błażejowa! jej to wielkie dzieła! Więc téż, aby skuteczniej zamiaru dopięła, Wiedząc żem się wydał na parę miesięcy, Swoje plany poparła plotką i nie więcéj:

LUDWIKA.

Ależ mama mówiła...

WIKTOR.

Ależ pani droga,

Ja nic nie wiem, przysięgam na honor, na Boga!

LUDWIKA (z uczuciem).

Więc to było podejście!... A! panie Wiktorze, Przebac... choć całej winy na siebie nie złożę... Pański zamiar, mnie tylko przeczuciem wiadomy, Był wszystkim tajemnicą; tymczasem dwa domy Jawnie z panem Gerwazym padły do stóp mamie. Gdybym zgadła że pani Błażejowa kłamie, Gdybym choć to wiedziała, byłabym gotowa... Ale cóż? pan rodzicom nie wspomniął ni słowa, Nawet nie nie pisałeś...

WIKTOR.

Mówić, pisać, na co?

Prosić ojca, byłoby zmarnowaną pracą, On się tu w nic nie miesza; a stanąć przed mamą Bez posady, na cóżby wyszło? na to samo. Więc ani przypuszczając że tu się tak skoro Do zburzenia mych drogich nadziei zabiorą, Wkrótce wrócić z posadą miałem zamiar szczerý... I dziś, gdy lada moment nadejdą papiéry, Gdym się spodziewał witać spełnione marzenia, Zastaję... cóż? ah pani! to nadmiar cierpienia!

LUDWIKA.

Tak, to nadmiar cierpienia!... ależ Bóg nad nami... Uspokój się pan... Zamiast zalewać się łzami, Pomyślmy o ratunku...

WIKTOR.

Jakąż obrać drogę?

LUDWIKA (namyślając się, szybko).

Chwilę... wiem że na matkę rachować nie mogę, Ale... tak... pan Gerwazy widzi jaknajprościej, Że mnie nakłonił rozkaz, a nie głos miłości... Oddał się pan... pomówię z nim i mam nadzieję, Że nam schmurzone niebo jeszcze zajaśnieje.

WIKTOR (chwytając jej rękę i całując z zapalem)

Ah! pani!

LUDWIKA.

Dobréj myśli!

GERWAZY (za sceną).

To do lodu proszę,

To szampan! Ja tak zawsze! szampana dwa kosze! A od Lursa przyniosą tort, cukry i kremy.

LUDWIKA (żywo do Wiktora).

Wróć pan za pół godziny.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KORRESPONDENCA OD REDAKCYI.

Panu Tomaszowi z Białocerkwi. Twoje piosneczki, — Panie Tomaszu, — To jak dzieweczki, — Co na kiermaszu — Miłe i składne, — Myślą nie nęć. — Lecz jeżeli w téj drużynie — Na myśl głębszą przyjdzie pora, — Prześlij piosnkę, a uczynię, — Co jest w mocy redaktora.

Panu A. Ch. z Brażynki. Odpowiedź znajdziesz pan w ogłoszeniu od redakcyi, mieszczącym się w numerze 388 Tygodnika Ilustrowanego.

Pannie Zofii T. w Szydłowcu. Nadesłane wiérzyki nacechowane są naiwnym wdziękiem budzącego się uczucia. Forma jednak wiele pozostawia do życzenia. Na bliższe rady i wskazówki nie tutaj jest miejsce.

Panu J. G. w Janowie. Za myśl zupełnie nową, aby nie redakcyja sądziła utwory mające się drukować w jéj piśmie lecz ogół publiczności, — uprzejmie dziękujemy. Wolimy jednak trzymać się dawnego zwyczaju, nie abdykując z władzy bez zezwolenia pańskiego przywłaszczonéj.

Pani M. B. pod Nieszawą. Opowiadanie p. t. „Sen pana Macieja“ napisane jest dość zręcznie. Treścią swą jednak i tonem odpowiada raczej celom Opiekuna domowego lub Zorzy. Radzimy odesłać je do redakcyi jednego z tych pism czasowych.

Panu J. B. w Sędzinie. List doszedł i rzecz załatwiona, stosownie do pańskiego życzenia.